

ZBIÓR POWIEŚCI

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrane, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom jedenasty.

1855 July 21

Monday

Went to the
market

and bought

some

clothes

and

STARY SŁUGA

POWIEŚĆ

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrzone i poprawione przez Autora.

TOM I.

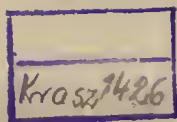
L W Ó W.

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu św. Ducha 1. 43.

1872.

W A R S Z A W A.

W księgarni Michała Glücksberga.



Nakładem Rogosza, Pillera i Gubrynowicza & Schmidta.
Drukiem Kornela Pillera.

1986 D 26

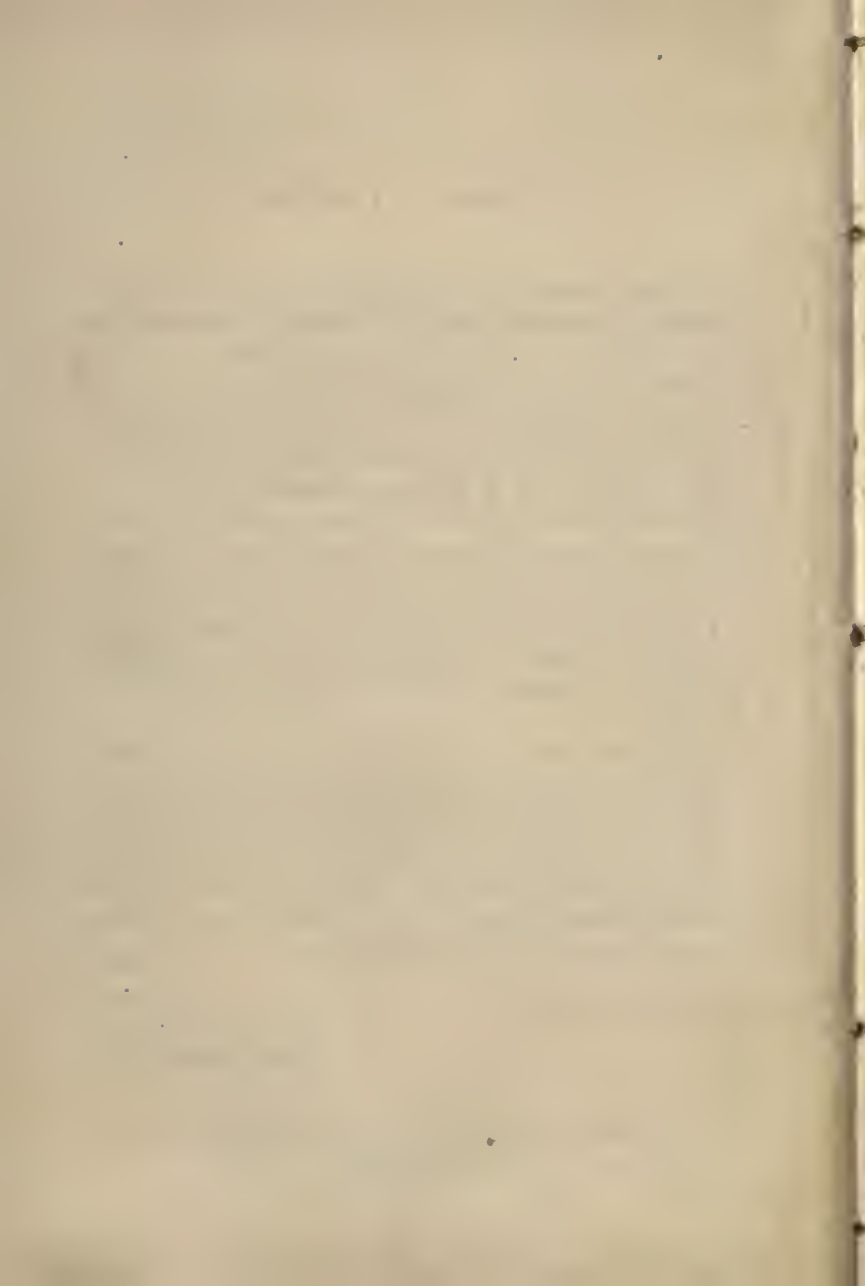
STARY SŁUGA.

Pisaną przed dwudziestą laty (1851) powieść tę, na Wołyniu, drukowała naprzód *Gazeta Warszawska* Ant. Lesznowskiego. — Była to niemal pierwsza próba oryginalnego odcinku w dzienniku, a że się dosyć powiodła szczęśliwie, poszły za nią inne w *Gazecie* ogłaszane później powieści, które liczbę czytelników zwiększyły. — Stary sługa na tle krajobrazu poleskiego, maluje wypadek nie całkiem zmyślony; — opowiadanie podobnego zdarzenia, jak do wszystkich prawie innych powieści moich, służyło za materiał. — Obyczaj i fizjognomje brałem z natury, bo naówczas gospodarując na wsi, przejeżdżając ciągle między Polesiem a Wołyniem, natrafiać się mogłem takich Zapadni i stróżów i żebraków...

Odczytując teraz, widzę ten kraj tak już dziś zmieniony, jakbym go wczoraj oglądał. Starych sług, Stanisławowi podobnych, miały wielu domy nasze — ale — i panowie też byli inni. Prawnaówczas brakło na orzeczenie stosunków włościan, sług i czeladzi — serce starczyło za nie. Minione to dzieje, których odbłysek ostatni został na tych kartkach kilku.

Drezno, listopad, 1871.

J. J. KRASZEWSKI.



I.

Z a p a d n i a.

Ciekawy to kraj Polesie nasze: zapadły, pusty, dziki może, smutny i głuchy, ale tak ma swoją odrębną fizjognomję, tak uderza właściwym sobie charakterem, że niepodobna, bliżej poznawszy ten kątek, nie znaleźć w nim nawet pewnego uroku i wdzięku. Kątek ten może nam dać dziś jeszcze wyobrażenie, czem przed secinami lat była cała niemal Litwa i część znaczna Rusi. Geografowie nasi nie zgadzają się na granice Polesia; bo też w istocie nie wiadomo, gdzie się ono zaczyna i gdzie kończy: nieznacznie rozrzedzają się lasy, twardnieje ziemia pod stopami wędrowca, powolnie nikną sosny, ukazują się dęby, wzgórza zielone podnoszą, i nie wiesz jak i kiedy stanąłeś na Wołyniu. Miejscami znowu rzeka płynąca rozrytym od wieków jarem, dzieli nagle i raptownie krainę lasów od ziemi złocistych łąnów. Ale częściej wjeżdżasz powolnie w tę głębinę lasów, błot, piasków, w ciemne wieńce borów szumiących i zdrzemanych moczarów, w tę ciszę głuchą, uroczystą,

wielką, która przypomina czasem amerykańskie puszcze, czasem coś od nich straszniejszego. Przebywasz okolicę nie nazwaną, bezimienną, dwutwarzą, zakrawającą na Wołyń i przypominającą Polesie, i obudzasz się na płaszczyźnie płowej lub szarej, w dali już okolonej sinemi bory, przeciętej groblą, która się wije wśród kępiastego błota; widzisz gdzieś z dala dymy oznajmujące wioskę, tu znowu krzyż zbutwiały obwieszony płachtami ofiarnemi, karczemkę czarną i na pozór pustą, wśród rzadkiej choiny zasiadłą, kilka grusz rozpierzchłych w polu jak stado owiec rozegnane przez wilka — jesteś na Podolu.

Nie potrzebuje może przestrzegać was, mili czytelnicy moi (bo mam nadzieję, że własny kraj staraliście się poznać z bliska), iż Polesie jest nie jedno, że to nazwanie stosuje się u nas do kilkunastu mniej więcej obszer-nych przestrzeni kraju wielce od siebie różnych, i że przenosimy się z tobą w takzwane Polesie wołyńskie.

Ktoby dumać nie umiał, mógłby się tu nauczyć: tu wszystko, zda się, zadumane głęboko, od ludzi począwszy do drobnej trawki, która na piasku smętnie się kołysząc, marzy o ciszy co ją otacza. Milczenie wywołuje dumę, a więcej jeszcze te szумы niewyraźne, stłumione, które na tle ciszy powszechnej, śpiewają wielką, nieodgadnioną pieśń stworzenia (przynajmniej potrzebą) dość ochryplym głosem. Najmniej ze wszystkich chórzystów słyhać tu człowieka, a przyrodzenie w całej sile odzywa się, tłumiąc słabe i rozpierzchłe jego wykrzyki. Ono tu jeszcze panem i przemawia autokratycznie, bo nikt nie może zgłuszyć przeważnej jego pieśni. Cisza przed-adamowa szeroko padła na tę zaczarowaną, zda się, ustron; wśród niej słyszysz dziwnie smętne, dziwnie

niepojęte, drażniące swą niezrozumiałością rozmowy powietrza z puszczą, ptactwa z drzewami, krzewów z robaczkiem, traw z brzęczącymi gromadami komarów. Co to wszystko mówi, śpiewa, szepce? — mimowolnie spytać i zadumać się musisz. Każdy z tych głosów ma znaczenie przecie, ma myśl, którą wyraża choćby mimowolnie, nie zdając sobie z niej sprawy. A więc z głową spuszczoną zadumasz się i ty także, jak dumają tu wszyscy: sosny słuchając ptaków, ptacy słuchając gwaru chmur nad głowami i chmury słuchając hałasu borów.

Chwilami — zdaje się jedna część chóru tego ciekawie nastawiać ucho, gdy druga z szalonym zapalem śpiewa pieśń swoją; to znów milkną śpiewacy pierwsi, choryfeusz podniósł głos, a za nim zawrzał cały tłum przed chwilą milczących słuchaczy. Niekiedy i razem, głuszac się wzajemnie ozwą się wszyscy: a człowiek słuchacz niemy truchleje w tym chaosie dźwięków, szukając słowa, coby je wytłumaczyło dla niego: chmury, bory, zwierzęta, ptaki, plazy, trawy, piaski nawet krzyczą mu w uszy ogromnym chórem burzy życia.

To znowu jakby Wszechmocnego ręka dała znak milczenia i przerwy — dźwięki uleciały kędyś daleko, giną w przestrzeniach i niepokojąca grobowa cisza, noc dla ucha, rozszerza swój płaszcz ciężki nad zamartłą pustynią.

Powiedzieliśmy już, człowiek tu najmniej widoczny, najslabszy, najbiedniejszy: jest to królestwo roślin i zwierzątek, w które on wkrada się pełznąco i mozolnie je zdobywa. Dzieła rąk jego są stosunkowo do przestrzeni małe i nieznaczące.

W piaszczystej lub glinkowatej ziemi wyorane ślady kół prostego wozu, pnie drzew ściętych, wydarte półko

maleńkie, stóg na obszernych łąkach, chatka do bobrowej podobna, grobla licha, mostek drżący — oto wszystko co dotąd zrobił tu człowiek. Obok jego mizernych wysilków, ogromne przestrzenie leżą jeszcze ręką nie tknięte, a rok lub dwa przypadkowego zapuszczenia, zmienia je w pustynie znowu i ślad nóg ludzkich całkowicie zaciera. Zaludnić tych nieżyźnych krain nie potrafił jeszcze pan ziemi, wyludnić je przecie podolał: zwierz już zszedł z miejsc wielu i zostawił je owadom i tym upartym tylko Bożym stworzeniom, które nawet człowiekowi nie ustępują.

Głębiej, to jeszcze królestwo łosi, dzika, wilków i pomniejszej czworonożnej leśnej gawiedzi, po nad której jamami i barłogami, szczebiocąc gromadnie, ptacy się unoszą żarłocznii. Tam piękny bocian czarny, tak lubiący dziką samotność jak nasze pstre bociany cenią towarzystwo, ściela swe gniazdo na wysokich drzewach, w niedostępnych uroczyskach, które chyba bartnik lub strzelec zwiedzi raz do roku.

Zabłąkany wśród tego poleskiego świata, podróżny zdziwić się musi nowym dla siebie obrazem i zadumać nad przyszłością, która z rydlem i siekierą stoi już, gotując się ożywić pustynie i zaludnić je pracowitymi osadnikami.

Nierychło to jednak nastąpić może; potrzeba wprzód żeby cena i niedostatek ziemi tak silnie uczuć się dały, by i na te niewdzięczne pola znaleźli się nabywcy łakomi. Tutejszy autochton, który już wrósł w swój piasek, przywykł do uprawy swych hromoszów, nauczył się korzystać z lasu i wody, długo jeszcze sam jeden panować będzie na rozległych obszarach. Ale kiedyś...

My powieść naszą zacznijmy.

W tem właśnie Polesiu, nie opodal od granicy Wołynia, na rzadko uczęszczanej drodze, łączącej dwa ubogie żydowskie miasteczka, stała mała karczemka, którą pospolicie zwano karczmą na Zapadni, lub po prostu Zapadnią. Wilcza jama stara, której ślad nie opodal pozostał jeszcze, dała zapewne powód temu charakterystycznemu nazwaniu. Na mil dwie, jadąc tak nazwanym traktem, nie było nigdzie ani wioski ani karczemki; Zapadnia więc korzystala z tego i żaden podróżny, po piasku i korzeniach przebywszy smutny drogi kawał, ominąć jej nie mógł, jeżeli nie dla siebie, to się zatrzymując dla koni. Kraj dookoła dziwnie był smutny i pusty. Gościniec ów wielki był wprawdzie szeroką ale najgorzej utrzymywaną (raczej całkiem nie utrzymywaną) drogą. Ślady tylko kół stanowiły ją: szły one tu środkiem tryby niegdyś oczyszczonej, to po za bliższymi sosnami, między pniami, wśród gałęzi, omijając wiecznie błotniste jamy nie zgruntowane, wody nie wysychające lub wydmy głębokiego piasku; tu i owdzie kawałek grobelki wpadłej i ledwie już widocznej świadczył, że ktoś kiedyś myślał o tym gościńcu; ale wymowniej daleko o zaniedbanu go przemawiały leżące koła i drągi, któremi wozy z błota wydobywano.

Potrzeba było dobrego woźnicy, żeby tu sobie we dnie dał rady, a w nocy nie wiem jak nawet ludzie jeździć mogli. Droga szła krętą, nierówną, trzęska i najdziwniej powykładana.

Miejscami porastały ją krzaki, przecinały ogromne na wpół zgniłe kłody i suche gałęzie, lub obnażone sterczące sosen korzenie. Zwinny wóz poleszuka omijał to wszystko nie zawsze bez szwanku, bo bliżej stojące drzewa nosiły ślady na korze wydarte, licznych zaczepk,

które zwycięsko odeprzeć musiały.

Kolo karczemki, którą zaraz opiszemy, był bór sosnowy przerzedzony, porosły od dołu młodzieżą i krzewami, a nieco dalej błotko zatechłe, w którym pół roku śpiewały nieznosne gospodarne żaby. Za błotkiem widać było las znowu, na którego tle zielonawem sterzały poopalane olbrzymy stare, w niewielkiej już pozostałe ilości. Dokoła stała się wydma żółta piaszczysta, w twardszych tylko kilku miejscach zielono-żółtą pokryta trawką. Na tej wydmie, od wieku sklecona z sosnowych krągłaków, przedłużona plecioną z chrustu stajnią, pokryta dranicami, przez burzę poszarpanemi i poodgniwałemi od słoty, stała owa karczemka samotna; towarzyszyły jej tylko, o niskim zrębie studeńka z żórawiem na bok pochylonym, loszek odrapany i osiadły, a na przeciwnej stronie drogi obórka pochylona i podparta.

Nie jednemu przywykłemu do ludniejszych krain, a wyobrażającemu sobie, że lasy tak obszerne mogą być schronieniem złoczyńców, dziwnie się zapewne wydawać musiało, iż tu się człowiek mieszkać odważył. Ale wieś, chociaż żadnej na trakcie samym o parę mil nie było, kryła się za lasem na ustroni, o trzy tylko ćwierci mili, a żyd, odwieczny Zapadni mieszkaniec, tak doskonale był ze swoją pustynią oswojony, iż nie wiem czyby się na pozornie weselszą zamieniał dzierżawę.

Zresztą, dziś sam jeden z niewielkim swoim dworem był tu stałym mieszkańcem, czasami na gościach mu nie zbywało. W niedziele, święta i doroczne jarmarki bliższych miasteczek, Zapadnia ledwie mogła przybyłych pomieścić, tak ich było pełno. Nie minął jej żaden z przejeżdżających, dla wódki, ogrzania, ochło-

dzenia lub gawędki z arędarzem, starozakonnym Juchimem Moszkowiczem Rejzą, żydem wielce wziętym, o którym zaraz powiemy obszerniej, bo mu się słuszenie należy szczegółowy rysopis i biografia.

Teraz jeszcze powrócimy do karczmy; karczma bowiem również zasługuje na uwagę. Jużśmy napomknęli, że to był budynek stary i trochę w ziemię wkleśły, z okraglaków sosnowych sklecony i dranicami pobity. Czas kościstą swoją dłonią w ziemię go powoli wtłaczał, tak że okna z jednej strony już prawie się z darniną równały. Ściany niczem nie oblepiane i nie bielone, miały tę smutną barwę szarą, która właściwą jest wioskom Polesia i części i Litwy. Nic weselszego tynku nie błyskało na tej ciemnej budowie, nawet kamień od dymu był poczerniał. Ogromne wrota, nadwężone i na jednej tylko zawiasie wiszące, wpuszczały do środka, i z sieni dopiero, zarzuconej saniami, wozami, drwami, poprzedzielanej w obórki i komórki, wchodziło się do wielkiej izby karczemnej.

Izba ta otoczona ławaniami, bez podłogi, z piecem ogromnym, z drugim obok do chleba, z bondurem do oświecania łuczyną w zimie, okopcona, czarna, z oknami pozaklejanymi i zasmolonymi, w znacznej części służyła za skład sprzętów Juchimowi. Sprzęty to były choć bardzo potrzebne, choć wielce malownicze, wcale jednak nie wytworne i nie kosztowne. Zaraz odedrzwi stała, jakby na straży, przysadzistych kształtów kadka, dalej stępa, dalej tarczany różnych rozmiarów cisnęły się w kąty, a na nich jeszcze leżały pierzyny, worki, węzłki i tajemnicze gałgany, których przeznaczenia i wartości nie każdy mógł odgadnąć. Ławy, stół, żelazny lichtarzyk u pułapu, obszerne schronienie zimowe ba-

churów wśród trzasek na piecysku, z którego wyglądały brudne poduszki i nie mniej zużyte kołdrzyny, dopełniały obrazu izby karczemnej. Obok niej zaraz był alkierz o połowę mniejszy, mieszkanie gospodarzy, skład kosztowniejszych sprzętów, sypialnia, kuchnia, kancelarja Juchima, pokój bawialny dla dostojniejszych gości, i wszystko czem tylko pierwsza izba nie była. Tu opis trudniejszy; — łatwo w natłoku rzeczy bezimiennych dla nas, rozpoznać je i rozklasyfikować. Najpokaźniejsze było łożo państwa, niegdyś firankami osłaniane, dziś tylko otoczone patykami, na których wisiały. Tuż stolik z kałamarzem, pełnym jakichś czarnych flejtuszków, kilką książkami do nabożeństwa, szklanką z solą, butelką obitą pełną ćwikły i pomniejszych gracikami, pokrywał sobą jeden kuferek. Drugi większy obok służył za siedzenie, trzeci dalej jeszcze był podstawą kupie bieleziny i odzienia. Nad niemi półka na sznurach dźwigała księgi hebrajskie, jakiś butel czarny i zwinięty łapserdak, którego niebiesko podszyte poły stanowiły malowniczą draperję. W kącie była kupka kartofli; dalej skrzynia z pościelą dwojga dzieci, potem beczka z wódką na legarach wysokich, wór mąki, ćwierć wywrócona itp.

Pomnażały ciasnotę wszelkiego rodzaju stworzenia gospodarstwo składające, spoufalone z ludźmi i na stopie równości z nimi żyjące, które im tu towarzyszyły, jako to: kilka kur, para indyków, gęsi, kaczki i stara koza.

Lecz czas przystąpić do ludzi.

Główną tu postacią był gospodarz, Juchim Moszkowicz Rejza, którego dziad, pradziad, ojciec siedzieli w Zapadni, i on też uważał ją raczej za dziedzictwo już swoje, niżeli za arędę doroczną, choć co roku nowy o nią robił kontrakt. Juchim Moszkowicz wart zaiste

byśmy się w niego wpatrzyli. Zaraz na oko przedstawiał się uderzając oryginalną postawą: mały, zwinny, ruchawy, zaschły, trochę krzywy, bo jedno ramię miał znacznie niższe od drugiego, blady na twarzy, nieco zyzowaty, bez brody, bo mu ta w upokarzający sposób rosnać nie chciała, z długimi pejsami, prostemi, ciemnej barwy, miał coś w sobie dziwaczного, zagadkowego. Oczy biegające, żywe, błyszczące, zdradzały w nim wewnętrzna gorączkę. Mówił prędko, niezrozumiale i bełkotliwie, a całe ciało towarzyszyło ustom, wyginając się dziwnie; szczególnie wyższe jedno ramię co chwila podrzucało się konwulsyjnie. Najmniejsza rzecz, byle nie w porę i nie po myśli zrobiona lub powiedziana była, niecierpliwiła go nadzwyczajnie; wówczas uśmiech ust gniewliwy, wejrzenie oczu iskrzących, ruch postaci połamanej, miały w sobie coś szatańsko złego. Juchim zaperzony, miotał się jak opętany. W chwilach spokojnych, prócz nałogu szyderstwa ze wszystkiego i ze wszystkich, był wcale pospolitym żydem. Znano go jako najzręczniejszego z handlarzy, najczynniejszego z szachrajów, i nie obeszła się żadna trudna sprawa żydowska, żeby w niej palców nie umoczył. Niepospolita przebiegłość, znajomość ludzi i miejscowości, umysł żywy, upór w postawieniu na swoim nadzwyczajny, były przyczyną może, że mu się wszystko, co przedsiębrał, zwykle udawało. Żydzi jeździli do niego na poradę z daleka, przyjmowali go do spółek zyskując sobie w ten sposób jego pomoc, a nie było prawie wypadku, żeby mu się noga pośliznęła. Czem Juchim handlował, co było jego zajęciem? trudno to powiedzieć. Najczęściej w podróżach, przejazdem tylko w domu, kupował, sprzedawał, mieniał najrozmaitsze przedmioty.

Nabywał zboże, skóry, bydło, konie, frymarczył dziegciem, smołą, najmował robotników, kupował wełnę, robił kontrakty o wódkę, żadnego nie opuszczał jarmarku, kręcił się od wsi do wsi, od dworu do dworu, z miasteczka do miasteczka; bywało pół roku czasem, że się nigdzie nie pokazał. Nagle potem zjawiał się ze swoją biedką i bułaną szkapą, a nikt dojść nie mógł, gdzie przez tak długi czas wędrował.

Sura Juchimowa tajemniczą była jak sybilijska wyrocznia; ona sama mogła poprawić opinię wszystkim kobietom o wielomowność posądzanym od wieków, nie mówiła bowiem prawie nigdy, a jeśli się odzywała, to pół słowami i w pochmurnej zadumie, nieustannie się krzątając z kąta w kąt, ciągle coś robiąc, to koło dzieci, to koło gospodarstwa, to w piecu; jak zakłęta, na zapytania skinieniem głowy, ruszeniem ramion, ręką tylko odpowiadała. Była to otyła i podżyła już żydowica, z twarzą posępną, niemal poważną i miną pogardliwą. Cały świat traktowała z góry i dumnie, nie wyjmując panów nawet, i usługiwała wszystkim jako gospodyni karczmy, ale nie bratała się z nikim. Do dzieci nawet własnych rzadko słowo wyrzekła, najczęściej karciła je i prostowała raczej ręką niż ustami. Ludzie tak już wiedzieli o jej nałogu milczenia, że jej nawet nigdy pytań nie zadawali. Nieustanną czynnością sownie zresztą płaciła za milczenie uparte, i nie wiem czy kto nad nią niezmordowańszy był w pracy. Jak świt na nogach, z alkierza do izby, z izby do sieni, z sieni do obórek i chlewów włóczyła się, kłapiąc pantoflami do północkska. Kury piały a Sura jeszcze jak widmo kręciła się po karczmie. Nie wiem czy ją kto widział siedzącą; rzadko posługiwała się kim w najcięższej robocie, sama wszystko

i za wszystkich spełniając.

Nie policzone bachury różnego kalibru, potomstwo Juchima Moszkowicza, kręciły się po karczmie; ale wyjąwszy najstarszego, który już powoli na człowieka wychodził i czasem z ojcem jeździł, a nawet sam bywał do miasteczka posyłany, reszta oszarpanych dzieci nie zasługuje na wspomnienie. Do dwóch mniejszych chłopaków troskliwy ojciec trzymał belfera, nauczyciela, który choć był w Zapadni postacią zupełnie podrzędną, zastanawiał jednak powagą, jaką mu biegłość jego w czytaniu talmudu nadawała. Był to mały żydek, błady, suchy, chorowitej twarzy, równie milczący jak Sura, a najpociesniej zadumany. Męczyła go kabała; ciągle kiwał głową nad księgą i nad jej język podobno innego nie umiał. Gdy kto przypadkiem, znalazłszy go w karczmie, wziął omyłką za pospolitego żyda i śmiał mu zadać jakie pytanie, belfer jak indyk do najśmieszniejszego zaperzał się gniewu.

Ale dajmy już pokój izraelitom, bo nam pozostają jeszcze dwie postacie do narysowania, nim naszą powieść rozpoczniemy.

Zapadnia położona była dosyć od wsi odlegle, sama w lesie. Juchim często się oddalał, Sura więc miała sobie w pomoc dodanego stróża i stróżkę. Tych dwoje ludzi było to małżeństwo, gospodarze niegdyś z sąsiedniej wsi Zaborza, do której karczma należała; bezdzietni, podupadli, na starość kąty wycierali u żydów. Nie zdawało im się to wszakże zbyt przykrem i upokarzającym.

Stróż, którego zwano, nie wiem dla czego, Zmorą, nie wielki człowiek w szarej świcie, okrutnie zasmolony, nadzwyczaj rozlazły, zwykle siadywał pod piecem z rę-

koma w tył po za siebie założonemi, i zmrużywszy jedno oko, fajkę palił. Fajka była jego ulubionem zajęciem, a jeżeli go prawie gwałtem nie napędzono do roboty, od której się jak mógł wykręcał, ciągle i zawsze miał coś z tą fajką do czynienia. Jeżeli jej nie trzymał w ustach, to ją czyścił, odmuchiwał, przetykał, nakładał, skrobał, krzesał do niej ogień, krajał tytoń; a wszystkim tym czynnościom towarzyszyło niedźwiedziowate mruczenie. Przebudzony w nocy, natychmiast chwycił za swój cybuszek, którego jedząc nawet, z rąk nie wypuszczał. Zresztą, choć jawnie leniwy, był to bardzo dobry człowiek; żydzi go szturchali, popychali, łajali, bili nawet; nigdy się na to nie ofuknął, nie pisaął, najwięcej jeżeli ramionami ruszył. Prawda, że za to nie łatwo ich słuchał, zwłaszcza gdy o robotę chodziło: mówiono do niego, zdawał się nie słyszeć; wyprowadzano do sieni, wychodził i siadał sobie spokojnie na kłodzie; dawano mu w rękę siekierę lub wiadro, stawiał je flegmatycznie przy sobie, a przynaglony czasami nawet do lasu umykał i tam sobie gdzieś schronieńko obrawszy, wracał dopiero do jadła. Godziny jedzenia, trzeba mu oddać tę sprawiedliwość, nie zapomniał nigdy.

Miał jeszcze i to dobrego w sobie, że przy zdarzonej okoliczności, za siebie i za milczącą Surę gadał chętnie, a gdy mu brakło towarzysza, mruczał, sam zadając pytania i sam je rozwiązując. Dnie jarmarkowe były dla niego najpożądańszą uroczystością, bo z każdym przejeżdżającym obficie się mógł ugadać.

Nikogo nie minął, i humor też Zmory był wówczas najlepszy; uważano nawet, że nieco ochotniej udawał, że się czemś zajmuje.

Przy takich usposobieniach, Zmora naturalnie długo

na własnem gospodarstwie wytrwać nie mógł; bardzo szczęśliwy zbieg okoliczności zrobił go stróżem karczemnym, bo żadna funkcja stosowniejszą dla niego być nie mogła. Opuścił chatę pradziadów bez wielkiego żalu, zwłaszcza, że się już ona i całe obejście waliło, a oprócz psa Zajada i dwóch kur czubatych, chudoby żadnej nie mieli. Żona Naścia przeniosła się z nim chętnie do Juchimów, którym przędła i dzieci niańczyła. Podżyła, chuda i wyzółkła stróżycha, tyle przynajmniej lubiła wódkę, co mąż jej fajkę; do roboty też nie była zbyt skorą i w tem charaktery małżonków zupełnie się z sobą zgadzały; za to liczne posiadała wiadomości tajemnicze i talent miała wielki wróżenia i odgadywania. Cały świat niewidomy czarów, zagadek, uroków, stał dla niej otworem. Zamawiała skutecznie, przepowiadała zrzęcznie, odpędzała uroki doskonale i za kieliszek wódki podejmowała się często uszczęśliwienia całej rodziny.— Wszystek grosz, jaki miała, szedł za tę nieszczęsną wódkę do Surry; ale na cóż go było chować, kiedy dzieci nie mieli a gardło paliło?

Szczęśliwe więc dosyć życie prowadzili Zmorowie na Zapadni; on nigdy na wieś nie wychodził, ona czasem do chorych tylko lub oczarowanych ściągnąć się dawała. Całem ich mieniem były dwa kożuchy, dwie świty wyszargane i zapaśnych łapci oberemek; miejscem spoczynku ławy w pierwszej izbie karczemnej, a majątkiem dwadzieścia złotych rocznie, z których obojga państwa Juchim kwitował rachunkami gorzalczanemi i tytuniowemi. Niekiedy nawet kożuchy jeszcze bywały w zastawie.

Tacy byli mieszkańcy karczemki w chwili, gdy się nasza rozpoczyna powieść. Wiosna młoda rozwijała

listki na drzewach, bór był wonny a wiaterek przynosił rozkoszny zapach brzoź świeżo pękniętych. Zmora siedział na kłodzie przed karczmą i wpatrując się w zachodzące słońce, puszczał dymek z fajki, którą palcem przywykłym do tego nieustannie, naciskał i mruczał sam do siebie, nie mając mówić do kogo.

Zwykłym przedmiotem jego monologów było to położenie karczemnego stróża, które go widzieć bolało, choć je znosił z największą cierpliwością i poddaniem.

— Mówią stróż! — szeptał do siebie — alboż to co złego stróż? Jakby to stróż co gorszego od... od... — zastanowił się — a choćby od parobka, choćby od przyjaka, choćby od gospodarza. Niech ja sobie będę stróżem! Żyd mi nic nie robi, wybić nie wybije, chyba tak szturchnie trochę; łajac łaje, ale ja nie słucham jego szwargotania, jakby sobaka brechał, a jeść i wódki musi dać. Zresztą zje licha, żebym mu co robił! Ciupnę tam siekierą jak za napaść, ale wszystko to nie to co na pańszczyźnie i ja sobie pan w karczmie. A jeszcze byleby kto nocował, a choćby popasał, trzygroszówka się oberwie. Mówią stróż! niechaj gadają! co mnie to szkodzi. A taki choć Zmorycha stróżowa, a byle komu palec zabolął, chndoba zaniemogła, dziecko zakwiliło, byle urok czy zawertka, bez Naści się nie obejdą!

Zamyślił się.

— Tylko to bieda — mówił dalej — że ta Naścia, choćby i złoty zarobiła gdzie, wszystko bestja przepije... taka to już jej natura od najmłodszych lat. Czasem trzech groszy na tytuń u niej nie wyproszę; zaklina się: nie mam i nie mam! a patrz! poszła już do Sury i kieliszek gorzalki szmyrg! I myśli, że ja spię, a ja wszystko widzę! Oj! Sura bo też niepoczciwa! niemy

djabel: chodzi, drepta pantoflami. Słowa nie powie do człowieka, a ostatui grosz gotowa milczkiem wysmoktać. Do roboty i kijem pędzić rada, a jeść tak nawarzy jak dla psów. Żydowska to wiara zawsze! Juchim także, choć to gadają żyd mądry do pieniędzy, ale nie lepszy nechryst od niej. Kręci się, wierci się, siud tud lata, pójdzie, wyszachruje, obje się z jakim panem, a w domu przed tą milczącą Surką swoją... trusia! Jeszcze mu i kieszenie zrewiduje, żeby i dydka nie schował przed nią. Ale te niewierne bestje mają grosza! oj mają! gdyby ich trząść, byłoby za co cztery gospodarstwa kupić, i tytuniu na całe życie! Kto go tam wie jak on te pieniądze zbiera, ale nie przyjdzie do domu, żeby tam w alkierzu czego nie liczył... zawsze z zarobkiem. Co to za dziwo... na to żyd!

Gdy przerywając sobie wolno puszczanemi kłębami dymu i poprawianiem tytoniu, który porządnie palić się nie chciał, Zmora marzy tak, siedząc na kłocu, usłyszał brzęk i turkot bryczki i głowę ku niej zawrócił. Na drodze w oddaleniu ukazała się jadąca, żółto malowana, czterma różnomastnemi końmi zaprzężona najdyczanka, którą powoził kozak z ogromnym z pod małej czapeczki wywieszonym oseledcem, w białych płóciennych szarawarach i granatowej kórtce. Obok niego siedział drugi kozaczek, młodziesieńki, rumiany chłopak, podobnie do pierwszego ubrany, trzymający w ręku cybuch pański i kapiuch. Za nimi na bryczce migiała się postać dorodnego mężczyzny, z potężnym wąsem, której z daleka jeszcze rozeznąć nie było można.

Zmora popatrzał i szepnął do siebie:

— To ten Kalanka!

Bryczka podjechała pod karcznię i grzmiący głos

pana kazał się jej zatrzymać. Zmora powstał, fajkę przychowwał za koszulę i w postaci uległej, odstąpił na bok nieco, udając wielce zajętego koło drzewa, choć w rękę nie miał nawet siekiery. Była to stara sztuka: ile razy zbliżali się podróżni, mogący od niego potrzebować pomocy, zawsze to czynił, aby im drożej, odrywając się od zatrudnienia pilnego, pracę swoją kazać cenić. Przy tem chodziło mu o to, aby się nie ukazać próżniakiem. Wszyscyśmy ludzie: każdy z nas najlepiej ukrywa swoją najsłabszą stronę. Teraz już pan bryczki, wyskakujący z niej właśnie, malował się w całej okazałości: był to dwudziestu kilku lat młodzieniec, na którym niedogasłego bałagulstwa widoczne pozostały ślady. Ubiór jego zdradzał tę niedawno jeszcze minioną przeszłość: miał na sobie kurtkę czarną, opiętą, bez guzików, na haftki njętą i paskiem kaukaskim, srebrnymi guzikami nabijanym, podpasana, szarawary szerokie nankinowe, a na głowie fantastyczną czapeczkę. Z kurtki wyglądało krzesiwko i łańcuszek od zegarka. Twarz pana Kalanki przystojna ale nieznacząca, ruchawa zbyt, w ciągłych zmianach wyrazu najdziwniejszych, okazywała człowieka nie umiejącego wcale panować nad sobą, przywykłego do rozkazywania i samowolności, charakteru gwałtownego, ale przebiegłości wielkiej. Oczy miał jasne i szare, bezmyślne i blade, usta odęte, policzki rumiane, wąs ryży, spuszcisty. Dla praczek i garderobianek był to ładny chłopiec, ale wykształceńszy smak, oceniwszy piękne kształty jego budowy, odwróciłby się od twarzy pospolitej i niemiłej. Ubiór jego opięty i staranny wskazywał, że wiedział jak go uposażyła natura, i cenił swą atletyczną postawę. Bałagulstwo, oprócz stroju pana i kozaków, dobitnie też od-

cechowowało się w bryczce i zaprzęgu. Wiadomo wszystkim, że to, dziś do historii, niestety! należące społeczeństwo bałagulskie szczególnie zaprzętało się kofmami, zaprzęgiem i wszystkim co ze stajnią i psiarnią miało związek. W pozostałych po rozbiciu stowarzyszenia szczętach, żyła jeszcze troskliwość o zachowanie prawideł furmańskich; nie dziw, samo nazwanie bałagulów (jest to nazwisko furmanów po żydowsku) — usprawiedliwiała ją.

Cztery konie pana Kalanki, sławne na całą okolicę ze swych nadzwyczajnych przymiotów, były furmanką co się nazywa bałagulską. Były to szkapy niezbyt rosłe, nie bardzo wzrostem nawet dobrane, w jak najprostszyc szlejach, ale dzielne i silne bieguny. Dwa dyszlowe, szpak żelazny i deresz (ostatni jedno ucho miał trochę nadcięte), warte były od siebie rzucając po jakie czterysta kilkadziesiąt złotych, choć osobiście ich nie poznawszy, na pierwszy rzut oka nie dałbyś tyle za oba razem. Podsobny gniady nieco kulał tylną nogą, ale ciągnął tego, a czwarty kasztan mniejszy od wszystkich, z łbem spuszczoneym, ogon miał przywiązany do postronka, bo nim nieprzyzwoicie wywijać był zwykły; pomimo tej małej wady, w pracy był nieoceniony.

Kozacy dobrali się do koni: woźnica, z przeogromnemi konopiatemi wąsiskami, blady i widocznie nie obojętny do kieliszka, miał minę zuchwałą i nosił na policzkach różne hieroglificzne dowody, że zuchwalstwa swojego nie hamował. Jedno oko zmrużał zwykle od niechęci; w zębach na krótkim cybuszku wisiała fajka wygasła, od której gdy ją wyjął, dołek wygnieciony nałogiem zostawał mu zawsze. Imię miał Zabijaka, i w istocie stosowniejszego trudno dobrać było, bo jeden

pan tylko i to nie zawsze, od chętki do bijatyki mógł go powstrzymać nahajką.

Drugi kozaczek, który piorunem z kozła zeskoczył i już fajkę panu oczyszczał, zowiący się Jagoda, świeży, młodziuchny, zwinny, żywy, choć mu z oczu patrzyła pojętność i spryt, popsuty był widać zawczasie. W twarzy jego malowała się dojrzałość, zawsze prawie gdy zbyt pospieszna, zgniliznę z sobą wiodąca. Był to ulubieniec pana i dobrze o tem wiedział.

Kalanka zsiadając z bryczki zawołał do swoich ludzi:

— Hej, słysz Zabijaka!

— A co bat'ku?

— Koniom dobrze wytchnąć, można siana rzucić, niech zęby przetrą. Wy napijcie się po kieliszku wódki.

— Dobrze bat'ku!

I Zabijaka zsiadł zaraz z bryczki, lejce do kółka nejdyczanki przywiązując.

Właśnie gdy pan Kalanka zabierał się wyciągnawszy wniść do karczmy, Juchim, który wprzód przez okno popatrzał, wyszedł na jego spotkanie.

Żyd, jak zawsze, miał minę niecierpliwą, rozgorączkowaną i ramieniem jednym gwałtownie potrząsał, a oczyma latał jakby niemi i pana i konie chciał pożreć. Z szyderskim uśmieszkiem powitał przybyłego; Kalanka pozdrowił go rubasznem:

— Jak się masz stary szachraju?

— Kłaniam panu... młodemu; — dodał żyd trochę ciszej.

— Co? — podchwycił stając podróżny.

— Co? a cóż? kłaniam panu! — rozśmiał się Juchim.

— Wyglądałem pana i wyglądał, myślałem, że już i miniecie Zapadnię.

— Wiesz przecie, że ja ciebie nigdy nie mijam.

— A któż może minąć Zapadnię? — dorzucił żyd ruszając dumnie ramieniem.

Rozśmiał się pan Kalanka, spojrział na kozaków, potem na żyda, który już się koniom przypatrywał i ludziom, postąpił kilka kroków jakby chciał wniknąć do karczmy, ale zaraz zawrócił.

— A dobra u ciebie Juchimie wódka? — spytał — bobym i sam gotów kroplę się napić; wieczór chłodnawy, ja już głodny, samowara pewnie nie masz?

— Na co mnie tych nowości! — rzekł Juchim ruszając połową ciała. — Co się tyczy wódki, mogę panu dać choćby szabasówki.

— A dobrze, i siana dla koni wiązkę niech rzuca.

Gospodarz zawołał Zmory.

— Stróż! stróż!

Zmora ukazał leniwo głowę z za węgła.

— Co ty tam robisz?

— Co? juściż koło drew! — i ruszył ramionami, jakby go bolało niesłuszne posądzenie o próżniactwo.

— Pójdź i daj pańskim koniom wiązkę siana, a pan łaskaw do izby, czy może tu wynieść wódki?

Kalanka zdawał się nie wiedzieć dla czego roztagaiony i wahający.

— Do izby! — rzekł — no, no, pójdę do izby...

Wziął fajkę od Jagody, któremu kazał zostać przy koniach, a sam z Juchimem wsunął się do sieni.

W wielkiej izbie zastali Surę, swoim zwyczajem zajętą tak, że nawet przybyłemu głową kiwnąć nie raczyła, gdy ją przywitał: — Jak się masz pani Sura? — Naścia przedła pod piecem i okiem tylko z ukosa rzuciła na pana i żyda. Z alkierza dolatywał donośny głos

belfera, poprawiający niesforne intonacje bachurów, recytujących wśród ciągłych zachłystywań lekcję z Miszny.

Kalanka obejrzał to wszystko rzutem oka, poszedł do stołu, rzucił nań czapeczkę i fajkę, a sam przeciągnął się na ławie. Po chwili sam Juchim przyniósł mu kieliszek, którego nóżka lakiem przytwierdzona była, i flaszczkę do szyi mającą przywiązany sznurkiem wysłużony korek, drugiemu już podobno pokoleniu wódkę od zwietrzenia zachowujący.

Sura z wielkim pospiechem, jakby jej ciężko było od bardzo ważnych odrywać się zatrudnień, pokrajany w kostkę chleb i szczyptę soli postawiła na stole milcząc i zaraz odeszła.

— Za twoje więc zdrowie Juchimie! — zawołał Kalanka wychylając szabasówki; splunął potem, zakąsał i dodał:

— Dalibóg wódka nie zła! nie zła!

Żyd szydersko się rozśmiał i postawił ją na stole; poczem założył obie ręce za pas, poprawił jarmułki i zapytał:

— Jasny pan z miasteczka powraca?

— A toż wiesz, od pana pomocnika! Niedoimki, a niedoimki pokoju mi nie dają; musiałem go uprosić, żeby mi pofolgował!

— To bardzo dobry człowiek! — bąknął żyd mrużąc oczyma i pokazując zęby.

— Aha! dobry człowiek! — rzekł Kalanka — ale mój owies jeszcze lepszy od niego.

Juchim rozśmiał się znowu.

Kalanka obejrzał się, westchnął i ku oknu rzucił okiem.

— Dawno tu był Boikowski? — zapytał.

— Boikowski? On tu rzadko bardzo przyjeżdża; po co jemu tu jeździć? Mało on ma roboty w Zaborzu! Tam także niedoimki i gospodarstwo i z chłopami targi.

— A daleko ztąd wprost do Zaborza?

— Przez las... — począł żyd, i urwał zaraz, z zaśkrzonym okiem pytając: — A panu co do Zaborza?

— Co mnie do Zaborza! — rozśmiał się młodzieniec z niejaką radością... — To tak! Boikowski mi dawno znajomy, służył n mnie i myśliwy; chciałem z nim zapolować.

Żyd głową pokręcił i rzucił ramieniem gwałtownie.

— Przez las — kończył wlepiając badawcze oczy w przybylcę. — Przez las... na wprost, ale to droga niegodziwa, będzie mała milka, może trzy ćwierci mili.

— Dawno byłeś w Zaborzu?

— O! wczoraj! Ale co pan tak się dopytuje o Zaborze!

— A o czym-że gadać będę? juściż potrzeba o coś pytać!

— No! to czemu pan nie pyta o Hałuki, albo o Obo-dyńce?

— Bo mi przyszła na myśl wioska wasza, wszak Zapadnia do Zaborza należy?

— Nu! a jakże!

Trochę zamilkli; żyd przemyślał coś, zdawał się kombinować i dochodzić, przeszedł się ku ąlkierzowi i powrócił.

— Pan bywa w Zaborzu?

— A czemuż nie? bywam!

— To piękna wioska?

— Zachciałeś! jak wszystkie nasze poleskie wsie, dużo

liczej ziemi, wiele błota i na nic niezdatnego lasu.

— Co pan gada! co pan gada! — uniósł się arędarz żywo — takiej drugiej nie ma na całą okolicę. To złote jabłko! Czego jemu brak? Las, choćby towarowy, łąki nie skoszone; pola i dobrego po uszy; a ludzie bogaci i chaty siemieniste. Młyn, woda, tylko gospodarza nie ma, nie ujmując panu Boikowskiemu. On także dobry gospodarz, ale co innego kiedy pan a gospodarz razem. Za nieboszczyka naszego sędziego, co to było za gospodarstwo! gwałt! on bywało sprzedawał żyta i po pięćset korcy, pszenicy nieraz po dwieście i trzysta. Z samej arędy z młynem mają trzy tysiące. Nu, to zła wioska?

Żyd cały się aż zaperzył mówiąc o tem.

— Jakżeś ty śmieszny, Juchimie — rzekł mu Kallanka; — alboż to w jednym Zaborzu to jest?

— Niech-że mnie pan pokaże drugą taką wieś na *okoliczność*? Już pańska część w Otrębach pewno tego nie dokaże co Zaborze. Zaborze! gwałt! tu tylko gospodarza daj! A kobiecie samej, choćby ekonom najlepszy, nie gospodarować... to darmo! Nasza pani dobra, pocziwa, bardzo pocziwa, ale ją nie do tego pan Bóg stworzył. Dopóki sędzia gospodarował, było i chleba i mięsa i pieniędzy, a teraz często po rubla na Zapadnie posyłają. Ja dawno jej mówię: Jejmość jaśnie pani potrzeba zięcia... pocziwego człowieka, a nie, to powoli, powoli, i chleba nie stanie...

— Ależ Boikowski dobry gospodarz?

Chciał coś powiedzieć z prędkości Juchim, ale widząc, że cały ten ustęp, umyślnie na zbadanie intencji przybyłego wydeklamowany, na nic się nie przydał i jego jeszcze badano, wstrzymał się nagle i zamilkł. Przybyły nagląc, powtórzył pytanie: żyd tylko brwi

podniósł, usta wykrzywił, ramieniem wstrząsnął i odszedł w milczeniu.

— No? ale pani z niego kontenta i lubi go i słucha?— spytał znów Kalanka, biorąc milczenie w znaczeniu negacji.

— A kogo pani nie lubi? a kogo pani nie słucha?— rzekł po cichu żyd.

— Mówią, że i starego Stanisława bardzo też lubi?

— To co innego! — odparł żyd; — to stary sługa jeszcze nieboszczyka sędziego; on w domu jakby krewny, nie jak sługa.

— I to pocziwy, mówią, człowiek?

— On to pocziwy! ale ja jego nie lubię!

— Czemuż?

Juchim ręką tylko machnął.

Kalanka fajkę sobie nałożył i czy to że go wypytywanie bawiło, czy że miał potrzebę czegoś się dowiedzieć, rozpoczął je na nowo.

Nim jednak od komina, dokąd po ogień chodził, powrócił, żyd wywołany przez Surę, która ramionami ruszyła na niego i głową potrząsała, dając mu znak, żeby milczał... stracił całkiem ochotę do rozmowy.

Zabrał fiaszeczkę, chleb i sól, i ustąpił do alkierza, potem czegoś pilno wybiegł do sieni, a powróciwszy, począł indagującego jegomości zbywać pół-słowami. W tem głos obcy dał się słyszeć pod oknem:

— Hej, Zmora, psia wiaro, a już gdzieś w kacie leżysz do góry brzuchem! weź no mi konia potrzymaj!

Wszyscy wyjrzeni przez okno.

— To Boikowski! — zawołał Juchim z jakąś miną frasobliwą.

— A! to Boikowski! ot dobrze się trafiło, umówimy

się o polowanie — żywo zawołał Kalanka. — Słuchaj no daj tu swoją szabasówkę.

Drzwi się otworzyły zamasyście i nowa postać, na widok której Naścia od kądzieli wstała z uszanowaniem, ukazała się na progu.

Był to młody jeszcze człowiek, w szaraczkowym surducie, z rzemiennym paskiem, w butach do kolan, z nahajką w rękę; mina gęsta, wąs czarny do góry, oczy na wierzchu głowy wypukłe i błyszczące, nos orli, czoło niskie i zmarszczone. W ustach zaciętych i wąskich malowała się surowość i przywyknienie do gniewu; w ruchach widać było pewność siebie, jaką nadaje swobodne i bezpieczne miejsce, i dobry kawałek chleba. Zresztą pan Boikowski mógł służyć za typ nowego pokolenia ekonomów, którzy się bardzo różnią od pomocników ojców naszych. Tamci byli to ludzie skromni, niewielką rzeczą się kontentujący, nie myślący ze swego wychodźstwa, pokorni aż do zbytku, ulegli aż do pochlebstwa, drobnym zyskiem zadowoleni i przygotowani stać całe życie u progu; nowsi są pospolicie tylko ekonomami tymczasowie: każdy z nich wzdycha do dziedzictwa, dzierżawy i uobywatelenia; spieszenie chwytą co tylko schwycić się daje, i na rachunek przyszłej niepodległości nie bardzo chce słuchać; dbały o swą dostojność, woli często miejsce utracić, niż najmniejszego, choć najbardziej zasłużonego doznać upokorzenia. Nowe to plemię ekonomów nosi głowę do góry, chętnie się bierze pod boki, czuje godność swoją, ale niestety! gorzej daleko, bo na większą skalę kradnie od pokornych poprzedników. Przytem wszystkie wady wieku wypiętnowały się na niem.

Pracować się nie chce, bawić i hulać celem życia;

gawędka, karty, polowanie najmilsze zajęcie, obowiązek się spełnia od niechcenia, dla oka, wyręczając drugimi; a uchowaj Boże wymówki, harda odpowiedź gotowa na ustach. Gdybyć tylko odpowiedź! często najpodlejszą zemstą wypłaca się odprawiony dawnemu panu, nie patrząc wcale środków, jakimi jej dopnie.

Pan Boikowski był właśnie ekonomem tego rodzaju; służył on w przekonaniu, że to nie potrwa długo, że nakradnie tyle, ile mu będzie potrzeba na dzierżawę, a z niej przejdzie na dziedzictwo; i szanując w sobie przyszłego obywatela, wcześniej uczył się grać jego rolę.

— A! pana Boikowskiego? jak mi się pan miewa?— powitał go Kalanka na krok postępując przeciwko niemu.

Ekonom uśmiechnął się, zdjął czapkę i dosyć poufale odparł:

— Do nóg upadam pańskich! do nóg upadam! Pan dobrodziej zapewne z miasteczka?

Żyd na obu wejrzawszy, dziwną zrobił minę i cofnął się chmurny aż do alkierza.

W izbie tymczasem ciągnęła się dalej rozmowa:

— Jakże się cieszę, żeśmy się tu spotkali — rzekł Kalanka; — pytałem się Juchima właśnie, czy tu nie bywasz, tylko cośmy o tem mówili, ażeś się zjawił, chwala Bogu!

— Jeśli Juchim nie obiecywał mnie, to nie bez przyczyny — odparł ekonom — albo to mnie można odjechać? Wszystko tam na mojej głowie: zajęcia bez miary, cały majątek na mnie, gospodarstwo, interesa... ledwie temu rady dać mogę. Człowiek ledwie ma czas odetchnąć. A nie zawadziłoby i do Juchima zajrzeć, bo i tu porządku nie ma!

Juchim słysząc to z progu alkierza, ramieniem rzucił,

i jakby usiłując pozostać chłodnym, do drugiej izby się skrył.

— Nie możnaby ci służyć kieliszkiem wódki? — spytał Kalanka, — dobrą ma szabasówkę.

— Dziękuję panu, po herbacie wyjechałem z domu, bo miałem gości — rzekł kłaniając się nieco Boikowski.

— No! a na polowanie się zbierzemy?

— A! dobrzeby to było — odparł ekonom — ale zajęcia tyle, że człowiek czasu połapać nie może.

— Właśnie chciałem cię prosić do siebie, mój panie Boikowski; mam w Otrębach knieję dobrą, jesteś amatorem myśliwstwa, strzelasz wybornie, zabawilibyśmy się, mam psy doskonałe. Możebyś przecie urwał kiedy chwilkę wolną?

— Jeśli pan tak łaskaw, muszę mu służyć.

Po tych kilku słowach, których żydzi z wielką słuchali uwagą, choć zdawały się nie zajmujące, zaczęto mówić o koniach i Kalanka z panem ekonomem wyszli do bryczki obejrzeć bieguny, a razem i kozackiego wierzchowca, którym się chwalił Boikowski.

Był to także niepozorny szkap, chudowaty, grubokościsty, grnbonogi, szyja długa, łeb wielki, ale miał niezrównane posiadać przymioty.

Kalanka wsiadł na niego i przejechał po piasku, spróbował czy zwrotny, wypuścił, osadził i zmęczonego oddał w ręce Zmorze.

— A co? — śmiejąc się zapytał Boikowski — prawda, że dobry koń?

— Nie ma co mówić, tegi, pod charty byłby jedyny; niech no pan przyjedzie do mnie, utniemy może facjendkę.

— I owszem, ja od tego nie odbiegam; — kładnąc ręce w kieszenie rzekł Boikowski — aby tylko dobra!

To mówiąc odeszli na bok powoli i poczęli rozmawiać ciszej, nieco oddaliwszy się od karczmy. Rozmowa trwała dobry kwadrans, ale nikt jej podsłuchać nie mógł, bo niby oglądając konie, ustąpił Kalanka na trakt i o kilkadziesiąt kroków od karczmy się odsunął. Nie uszła ona wszakże bacznych oczu Sury i Juchima.

Żydówka pierwsza wychyliwszy się przez okno, wskazała w milczeniu mężowi rozmawiających; spojrział za nią arędarz i zamyślił się głęboko, potrząsł głową jakby niemałą wagę przywiązywał do tego spotkania, i nie spuścił już z oka pana Kalanki i Boikowskiego, jakby z ruchów ich i min usiłował odgadnąć, co z sobą mówili.

Wkrótce jednak narada się skończyła, a że konie popasły, Kalanka odesławszy przez Jagodę pieniądze za wódkę do karczmy, sam zaraz siadł na bryczkę. Zabił ją krzyknął na konie, pan podał rękę ekonomowi, żegnając go bardzo serdecznie, i odjechał.

Boikowski przez chwilę popatrzał za odjeżdżającym i wszedł nazad do karczmy, jeszcze wzgardliwszy, dumniejszy, hałaśliwszy niż wprzód. Czapki już nie zrzucając, rozwalił się na ławie i kazał sobie ognia podać do fajki. Naścia z pokorą i pospiechem mu służyła. Juchim chodził jeszcze po alkierzu, wzdłuż, wszersz, latał, rzucał się, ale nie spieszył do Boikowskiego, starając się widocznie wprzód uspokoić i ukolysać.

— Żydzie, a chodź-no tu! — zakrzyknął pan ekonom. Arędarz pokazał się na progu, ręce za pasem, oczy błyszczące, wargi drżące, uśmiech złośliwo-szyderski w całej twarzy.

— No ? a co ?

— A co ? wszakżeś powinien tu stać i czekać co ci

powiem, o co cię zechcę spytać? Ty nie wiesz, że ja tu pan?

Żyd tylko ramieniem rzucił i usta oddał pogardliwie, ale Boikowski tego nie zobaczył.

— Czemuś mi mojej baryłki nie nalał? he?

— Bo wódki tyle tylko mam co na szynk? jutro Benjamin pojedzie, to i baryłka będzie.

— A co mnie do tego, wiele u ciebie wódki! mnie moje o każdym czasie być powinno. Słyszysz? — pytał, widząc, że Żyd nie odpowiada.

— A słyszę.

— Żeby mi baryłka była dziś jeszcze wieczorem w Zaborzu.

— Nu, to będzie.

— Tak! pilnuj się! ty wiesz, że ja tu mogę wszystko, ja tu pan.

— Nu! a paniż co? — zapytał trochę szydersko Juchim.

— Pani — śmiejąc się odparł Boikowski — pani u mnie w kieszeni; ja co chcę to robię.

— Nu, to panu, chwała Bogu! dobrze się dziać powinno? — rzekł dalej rozmowę ciągnąć Żyd.

— Zdaje się.

— A pan myśli i robi, żeby to dobrze się skończyło?

— Ja? oszalałeś czy co?

— Pan myśli, że my nie rozumiemy co to za facjenda z Kalanką?

Porwał się z ławy z niejakim przestraczem ekonom, wlepił oczy w Żyda zdziwiony, pomieszany i dodał:

— Co ty pleciesz?

— On pana nie darmo holubi, ale w końcu zobaczycie, że się oszukacie.

Domyślnością żyda i jego słowa dwuznacznymi przez chwilę tak był strapiiony ekonom, że nie odpowiedzieć nie mógł; wreszcie nsiłując się wykręcić, podchwycił:

— Na czym? na koniu?

— Ej! gorzej jak na koniu.

— Coś bo tobie chodzi po głowie, Juchimie, czego ja doprawdy nie rozumiem.

— Bo pan rozumieć nie chce. Aj! aj! na co to już darmo przedemną udawać; żyd wszystko wie, nawet co kto myśli!

Widocznie mieszał się Boikowski.

— Głupis — rzekł impetycznie — sam nie wiesz co ci się śni.

— Nu! nu! niechaj tak! patrz pan tylko, żebyś sobie sam nie wyrzucił, jak co zrobisz niedobrze.

Ekonom wyraźnie walczył z chęcią wynurzenia się przed żydem i zasiągnięcia jego rady, a potrzebą zachowania jakiejś tajemnicy, i zadumał się, zdawał rachować; wreszcie porwał za czapkę:

— Durzysz się nie wiedzieć czem Juchim—zawołał;— wam żydom zawsze w głowie, czego drudzy i nie pomyslą. Pamiętaj-no, żeby mi wódka była.

— Nu! nu! to będzie; niechaj ja i nie wiem.

Jeszcze na progu zaciął się Boikowski, odwrócił do aredara, chciał mówić i czapkę nacisnąwszy na uszy pospieszył milcząc do konia. Juchim może w nadziei zwierzenia odprowadzał go.

Przed karczmą Zmora z fajeczką w ustach trzymał kozacką szkapę, która głowę spuściwszy, resztek siana szukała na ziemi. Siadł raźnie pan Boikowski, skinął tylko głową i poleciał wąską drożyną do Zaborza wiodącą.

Długo z szyderskim uśmiechem wiódł za nim okiem

żyd, chodząc po zajeździe karczemnym, coś gadał do siebie, jarmułkę podrzucał, pejsy targał.

Zmora patrzył z kąta na niego.

— Już go djabli męczą — mówił do siebie nakładając nową fajkę — o! jak się wierci... kręć się nie kręć, tak i ja się doczekam, że cię czarci porwą. I pieniądze cię nie obronią i Sura nie uratuje... szatańskie plemię... A wówczas komuż kiedy nie mnie zostać tutaj szynkarzem!! Dopiero będę pan!

Tej słodkiej nadziei uśmiechnął się Zmora!

— Ale wówczas zje djabła i moja Naścia, żebym ja jej dał wódki... ani kropelki... dosyć się jej napila; na mnie kolej. Tylko że to żydzi ci, to twarde licho.

Ten zwrot wywiódł mu z piersi westchnienie, ognia skrzesał, siadł na kłodzie i głęboko się zadumał.

II.

W e d w o r z e.

Z karczemki na trakcie, opisanej na początku powieści, jechał pan Boikowski wprost przez lasy do wsi Zaborza; nazywano tę objazdkę drogą, ale wcale na to nie zasługiwała. Widzieliśmy już wyżej jak wyglądał trakt; ten stosunkowo był wyborny, bo nim przecie, choć wywracając się czasem, jechać było można; tu zaś miejscowi tylko konuo, wozem lub bryczką odważali się puścić, a i ci nocą najczęściej bładzili. Zrazu, na zjeździe gościńca, obiecywało się to nie najgorzej, ale

im dalej w las, ścieżynka stawiała się coraz węższa, mniej znaczna, przecinały ją tysiączne drożyny, któremi tylko po drwa i na łąki jeżdżono; nareszcie ginęła zupełnie miejscami, tak, że na oślep szukać jej było potrzeba. Tu instynkt poleszuka zastępować ją musiał: w przerzedzonym borze pustym, gdzie gęsta trawa niska puściła się, okryta szyszkami i opadłemi igłami sosen, koła nie zostawiały śladów po sobie, ziemia była równa i gładka;— wszędzie więc mogła być droga, a wszędzie znacznej nie było.

Dalej następowały brody niezmiernie długie i porozgałęziane, a tak głębokie i mętne, że na ich dnie nic widać nie było; te do reszty nieznanego miejscowości zbijały z tropu.

Pan Boikowski wszakże znał zbyt dobrze okolicę, by w niej mógł zabłądzić; sam koń byłby pana, w niedostatku innego przewodnika, odprowadził do domu. Większe pół mili trwał las nieprzerwany, wreszcie rozrzedzać się począł stopniami; gęstsze coraz pnie się pokazywały, choiny młodsze i rozrzucone; w dali migały z za gałęzi pola jaśniejsze, droga widoczniejszą się stała i wszystko zwiastować poczynąło niedaleką już wioskę.

Mrok padać poczynął, ale Zaborze ukazywało się jeszcze widocznie, oświetlone w pełni ostatniemi jaskrawego zachodu brzaskami. Była to osada położona na płaszczyźnie opasanej lasami, nad mało widocznym, bo w znacznej części zarosłym stawem; czarna cerkiewka drewniana panowała z jednej strony chatom ukrytym w zarośla, z drugiej zabudowania dworu wśród wyższych drzew, podnioslejszemi wzbijał się ścianami, gdzie niegdzie bielejąc kawalem starego murn lub tynku. Dom mieszkalny, nieco okazalszy od otaczających go domostw,

ze staroświeckim łamanym dachem, na tle lip, kilku ciemnych świerków i rozłożystych klonów, białemi wyskakiwał kominami; po za nim kopulkę malej kapliczki, wysoki lamus, stodołę i długie obory widać było.

Niskie chaty włościan ginęły wśród plotów, sadów, grusz i wiśni; gdzie niegdzie tylko sterczał nad niemi żuraw studni, lub wąski niebieskawego dymu pasek w złociste niebo się unosił.

Wieczór wiosenny odzywał się w śpiewach pastuszków jak szczebiotanie ptasząt, właściwych tej roku porze; wierzbowę fujarki towarzyszyły im wdzięcznie i ochoczo. Włościanie na drobnych swych konikach ruszali już w lasy gromadami, pędząc przed sobą spracowaną i głodną chudobę.

Pan Boikowski, wcale nie zajęty pięknym obrazem, jaki go otaczał, zadumany, przeleciał cwałem wiejską ulicę, świszcząc krzykliwą jakąś i niesforną zwrotkę hulackiej piosenki, potem zawrócił w lewo i plotami otoczoną drogą ku dworowi pognał. Tu znown zjechał w prawo, na węższą uliczkę i po nad ogrodami krążąc, minawszy dwór, stanął na folwarku.

Folwarczny dom równie był stary jak sam dwór, i dosyć powierzchownie opuszczony. Dzielili go od dworu ogród, sad i warzywne grzędy; na ustroni usunięty, pannał wszechwładnie stodołom, oborom i całemu gospodarskiemu zabudowanin, do którego przytykał. Jeszcze bliżej otaczały go: stajnia, chlewki, drwalnia, obórka na wyłączny użytek pana ekonoma służące, i okalające dziedzińczyk, w środku którego brzezina misternie od zwierza obwarowany, był kwiecisty krąg georgiń, irysów i róży.

Ukazanie się pana Boikowskiego było hasłem wrzawy

na folwarku; krzyknął potężnie na parobków, żeby od niego konia wzięli; nie dosyć szybko przybiegającego fornala skropił nahajem po grzbiecie i rozpoczął gniewać się srodze, że gumienny w ganku na niego nie czekał i śmiał się ku stodole udać, a może do swojej chaty, nie odebrawszy wprzód dyspozycji.

Domyślając się przybycia mężowskiego, po krzyku i ruchu jakie zrodziło, pani ekonomowa wyszła na ganek. Była to młoda kobiecina, wcale przystojna, ubrana wykwintnie i z pretensją, z włosami dokoła głowy w pukle zawinionemi, z czarnem żywym okiem, z minką lwicy, fajką w ustach i pieskiem na rękę. Ani po Boikowskim takiej żony, aui po folwarku takiej pani niktby się pewno nie spodziewał.

Postawa jej dowodziła, że się wcale nie ulęka straszliwego swego małżonka; on obejrzawszy się i spostrzegłszy ją, trochę z tonu spuścił.

— A gdzieżeś to tak długo bywał, panie Michale?— spytała jejmość wyjmując na chwilę z ust cybuch z pięknym bursztynem.

— Zmiluj się, małoż tu jest dokąd jeździć za tem szelmoskiem gospodarstwem! z tymi niegodziwymi chami! Człowiek nie wie prawdziwie jak się rozerwać na wszystkie strony; a tych tu trutniów nie dopilnować!

— No, a gdzieżeś przecie był?

— Wszędzie być musiałem, na ostatku dojechałem aż do Zapadni, bo kochany Juchim już nam i wódki nie daje.

— Trzebaż mu było gałganowi dobrze uszy natrzeć; za nadto coś sobie nfa! Nie wie tego, że jak my tylko zechcemy, choć dwadzieścia lat tu siedzi, wykurzyć go

potrafić. Ale to fraszka. Pani tu kilka razy przysyłała po ciebie; czegoś jej tam potrzeba!

— O! ba! Toż człowiek wszędzie razem być nie może; niech pani poczeka, są pilniejsze rzeczy.

To mówiąc weszli do środka.

Posądzam was może niesłusznie kochani czytelnicy, że nie zrażeni jeszcze drobnostkowością moich opisów, gotowicie żądać, abym wam przedstawił mieszkanie państwa Boikowskich?

Stanie się zadość woli waszej, chociaż tylko przecznej. Powieść zawsze ma na celu wystawić jak najwięcej stron życia, które wzięła za przedmiot swych studjów; chętnie więc maluje nawet zewnętrzną jego postać, gdyż to co otacza człowieka, wiąże się z nim potężnie i charakteru jego tajemnice odsłania.

Pierwszy pokój, bo izbą nie godzi się go już nazywać, jak się zaraz przekonacie, pomimo, że był niski, bez sufitu i ściany miał grubo a dość garbato powylepiane; starannie jednak pracował nad pokryciem swych ułomności. Krzywe, maluskie okienka o czterech szybach, prostowały i powiększały firanki, podłoga była nowa i olejno wymalowana; w jednym kątku stała kanapa i stół, na którym w szklance woniał kwiatów bukiet; w drugim komoda serwetą kolorową pokryta, szklankami rżniętymi posrebrzanymi i różnymi gracikami podejrzanego smaku przybrana. Pod samem oknem wyciągał się stary szesłąg skórą obity.

Na ścianach wisały w czarnych ramach różne nieszczęść ludzkich nieszczęśliwe przedstawienia, jako to: Paweł i Wirginja, Atalla, Genowefa Brabantska, Heloiza z czułym Abellardem, a nawet, jeśli się nie mylę, i bardzo malpowato wyglądająca Franczeska. W miejscu,

które pani Boikowska zajmowała przed chwilą na kanapie, roztwarta książka świadczyła o jej szlachetnem zamilowaniu w literaturze. Czytała, niestety! *Żyda tułacza!*

Zresztą nigdzie nie widać było śladu zajęć gospodarskich, a nawet kalendarz ze ściany absentować się musiał, wygnany, jak się domyślam, dla swych staroświeckich okładek.

Drugi obok, mniejszy, ciemny pokój sypialny, równie starannie przybrany, nie był też przeznaczony do pracy; myślę się, stała tam na widoku najpożyteczniejsza a najkosztowniejsza z robót kobiecych: zaczęta w krosnach kwiecista na kanwie poduszka.

Drzwi mniejsze z bawialnego pokoju wiodły do kancelarji pana Boikowskiego, izdebki przyozdobionej kolekcją nahajek, zbiorem cybuchów i kilką parami wykrzywionych butów. Stojący tu stół, obryzganym atramentem, zarzucony rejestrami i raportami, zdobił kalendarz, sennik, linja i szczotki do włosów. Naprzeciw jeszcze była piekarnia, czeladna izba, kuchnia, gdzie synek państwa Boikowskich, którego wychowaniem sama pani, dla słabego zbyt zdrowia i rozdrażnionych nerwów, zatrudniać nie mogła, cały dzień spędzał w towarzystwie ochoczo mu posługujących pastuszków. Dziecię ekonoma wprawiało się tu do przyszłego stanu swego, targając ich bezkarnie za włosy i bijąc po policzkach, gdy mu przyszła fantazja.

Państwo ekonomowstwo weszli tymczasem do bawialnego pokoju; ona rzuciła się na kanapę, przygasała rozdmuchując fajkę, on przed nią w dosyć uniżonej pozostął postawie.

— A cóż, widziałeś się z Kalanką?—spytała Jejmość puszczając kłab dymu.

— O! a jakżeś to zgadła? — trochę usta zaciąwszy zapytał mąż.

— Wielka sztuka! sameś mi mówił, że się tam macie zobaczyć.

— Ja?

— A ty!

— Kiedy?

— O! dajże mi pokój! Alboż mogę spamiętać? Wczoraj, czy dzisiaj; inaczej, proszę cię, zkądżebym to wiedzieć mogła?

Jegomość tylko głową pokiwał.

— Widziałem się—rzekł cicho—widziałem, zgadłaś.

— No, i cóż tedy?

— A cóż ma być? zwyczajnie, złote góry tymczasem obiecuje, ale żebyśmy tylko źle na tem nie wyszli, moja Tereniu. Reflektuję się, że podobno wielkie robimy glnpstwo.

— Znowu poczynasz swoje! nieznośny z ciebie ciamajda.

— Jnż ja to wiem, że ty mnie nigdy nie posłuchasz. A mnie ten łotr Juchim, który nie wiem jak wszystko zdaje się przewąchał, pierwszy strachu napędził.

— Na cóżeś się przed nim wypaplał?

— Ja! miałbym się wygadać? Co ci się dzieje! Byłbym istotnie ciamajda! Słowa z nim o tem nie mówiłem, ale jak zobaczył żeśmy poszli na ustroń, niby konie opatrując z Kalanką, zaraz pomiarkował! I że to jak wiesz, żyd gorączka, języka za zębami nie strzyma, dał mi do zrozumienia, co o tem myśli. Kolnęło mnie to w serce, bo zdaje się, że ma rację.

— Słuchasz żyda; jemu o swoją skórę chodzi!

— Pomiarkuj-no jednak kochanie... nam się tu, nie ma co mówić, wcale dobrze dzieje.

— No i cóż z tego!

— A jak zrobimy co myślim, majątek pójdzie w inne ręce, kto wie czy tu nam tak panować pozwolą?

— Głupi jesteś, kochany Michale, pozwól to sobie powiedzieć — zawołala jejmość ruszając ramionami. — Jeżeli zgodzimy się pomagać Kalance, to pewnie nie darmo. Ja to już wprzód dobrze obrachowałam. Musi nam część swoją w Otrębach, puścić darem darmo na lat trzy, a oprócz tego utrzymamy się na ekonomji tutejszej.

— Dobrze to obiecywać, a nuż nam potem da koziołka? procesować go o to niepodobna!

— A któżby na słowo się zdawał i na łasce chciał zostać? Kontrakt na Otręby weźmiemy wcześniej, i o ekonomję też czarno na białem spisać nie zawadzi.

— Chyba! chyba! — rzekł zamyślony Boikowski.

— Darmo sobie tem głowy nie susz — odezwala się sama pani — ja to już wszystko ułożę za ciebie z Kalanką; twoja rzecz, żeby się staranie udało. Masz nad panią przewagę, korzystaj; trzeba o sobie myśleć.

— No! to się rozumie, ja swojego pewny!

Wśród tych słów otworzyły się drzwi i podżyła kobieta, którą ekonomowa powitała dość złośliwie: — Cóż to za szczęście, że możemy powitać u siebie pannę Kunegundę? — ukazała przez nie głowę.

Panna Kunegunda, nie młoda, smutna, bardzo skromnie ubrana, w szlafroku perkalowym, w welnianej chusteczce, w czepeczku bez pretensji na głowie, twarz miała nie piękną, pospolitą, ale z wyrazem wielkiej

dobroci i cierpliwości. Nie była to nigdy piękność, ale i w latach pięćdziesięciu ślady zostały, że się podobać mogła. Dobroć ma to do siebie, że wyryta na twarzy, nad wszystkie przymioty serca ku sobie pociąga. Jasno-blond włosy, jasno-niebieskie dziś zbladłe już oczy, usta uśmiechnięte, powaga poczciwości oblekająca postać całą, pomimo ubogiego stroju i ułożenia pokornego, mimowolny dla niej budziły szacunek. Ona i młoda ekonomowa były istotami tak sobie sprzecznymi, tak z różnych elementów złożonemi, że najmniej przebiegłe oko, zgody i przyjaźni między niemi na chwilę przypuścić nie mogło.

Na powitanie pani Boikowskiej wymuszone i szyderskie, które ona postępując ku drzwiom, z przyciskiem powtórzyła raz jeszcze :

— Cóż to za szczęście, że możemy powitać u siebie pannę Kunegundę? — klucznica, gdyż to był urząd dzisiejszy przybyłej, odparła bardzo spokojnie, z lekkim tylko ramion poruszeniem :

— Żadne to szczęście, moja Jejmość; przyszedłam tylko prosić pana Boikowskiego, bo od dawna oczekują na niego we dworze.

— Toż powinniście wiedzieć, że się nie mogę rozerwać — żywo ofuknął ekonom; trudno wszędzie być razem. Nigdy mi i odetchnąć nie dacie nawet.—Ruszaj do dworu, pani woła! — Dobrze waćpannie, co sobie z garderoby do spiżarni, a ze spiżarni do ogrodu, zdrowaśki odmawiając, spacerem się przejdiesz... dobiedziesz kiedy pani woła, ale ja nie mogę jak lokaj czekać na rozkazy w przedpokojach.

Panna Kunegunda wysłuchiwała całej tej perory, popatrzała, nic nie odpowiedziała, zawróciła się i wyszła.

— Oj to ziółko — ozwała się Teresa do męża — takie to ciche, pokorne, rzekłbyś że gęby nie ma, a do wszystkiego złego najpierwsza. Niech co najmniejszego zobaczy, zaraz pani doniesie, a nie ustrzedz się przed nią, wszystko wyszpera.

— Niechaj sobie donosi — śmiejąc się rzekł Boikowski — co ja powiem pani, to święte. Ona zamilknie, a ja każdą rzecz jak chcę wytłumaczę.

W tem powtórnie drzwi się z trzaskiem otwarły, żywo, zamaszysto i już nie smętna panna Kunegunda, ale piękna, zwinna czarno-brewa, wyskoczyła przez próg panienka. Strojna bardzo, wyświeżona jak lalka, w jedwabnej sukience, w floransowym fartuszk, w safjanowych trzewiczkach, z chustką w ręk, z parasolikiem w drugim, z różą we włosy wpiętą, doskonale przedstawiała subretkę starych komedji. Nie wielkie to a ładniuchne stworzeniecisko wleciało jak ptaszek, świegocząc i chichocąc, oglądając się, śmiejąc, jakby rade, że się z sobą popisie, bo wiedziało... o! wiedziało jak było ładne! W twarzyczce malej, okrągławej, jak jabłuszko rumianej, w koralowych usteczkach, w oku czarnem i płomienistem, w zadartym trochę ale bardzo kształtnym nosku, zgrabnych ramionach, popiersiu i zręcznej kibici, był nadmiar może trzpiotowości, zalotności, ruchu, ale się to wybaczało tej oryginalnej subretce.

Była to uosobiona Rozynka komedji XVIII. wieku, gryzетка paryska i Lizeta Berenger'a... złane w jedno.

Pani ekonomowa podala jej rękę po angielsku na progu, a Boikowski ze staroświecka ujawszy przydużą trochę łapkę, ucałował serdecznie pokrywając ją glansowaną rękawiczkę.

— A! Frunia! przecieżeś sobie przypomniała o nas!

Jakżem ci wdzięczna, żeś choć zajrzała do mnie!

— Podziękowanie nie zasłużone; na ten raz przybiegłam tylko za interesem.

— No, może i pani po mnie? — zapytał Boikowski.

— A cóż pan myślisz? właśnie pani mnie przysyła!

— No, idź bo już, idź — zawołała Teresa — gotowa się pani zniecierpliwić i pogniewać.

— Gdzież znowu! — odparł Boikowski biorąc niechętnie za czapkę — alboż się to ona umie gniewać? Ale wszelako, do zobaczenia, musi być coś pilnego, pójdę.

— Pilnego? — widzisz pan przyszły jakieś rządowe obwieszczenia czy palet, pani już niespokojna, a tu nikt jej przeczytać nie potrafił.

Frunia rozsiadła się wygodnie na kanapie obok ekonomowej, a Boikowski nie bez pomrukiwania wyszedł nareszcie na ganek. Tu jeszcze połajał parobków, wyciągnął się pary razy i leniwo poszedł ścieżką przez sad i ogród ku dworowi.

My za nim.

Dwór, któryśmy już z dala ujrzeli, był stary, ale się jeszcze jako tako trzymał. Z bliska wiek na nim był znaczniejszy; część ścian dla pogniłych podwalin chyłać się, prosiła o podpory i dach miejscami dziurami świecił, niedbale przyrzucenemi słomą; okna wypaczone miały pozór wypadających, a staroświeckie okienice z serduszkami, po większej części na jednej tylko trzymały się zawiasie.

W okolo nie wiele zmieniono z dawnego rozporządzenia: dziedziniec od sadu oddzielał jeszcze częstokół wysoki, a w ogrodzie drzewa siedziały posłuszne, w wyprostowanych rzędach, formujących ulice i kwatery. Kilka kanapek darniowych, altanka zgrzybiała, huśtawka

zepszta, stół pochyłony, dowodziły, że ogród dawniej nie dla samej korzyści i wygody, ale do przechadzki i zabawy też służył. Było w nim cienisto, trochę wilgotno i opuszczono; wszystko dziczało, drzewa i ulice, których graca nie tknęła od dawna. Sam dwór pozór miał smutny, bo koło niego brak było starania; pobiała dawno poodlatywała, a o nowej nikt nie pomyślał; tu i owdzie chwast już ciekawie do okien zaglądał, mchy rozsiadły się na dachu, grzyby rosły na spruchniałych brukach bliższych podwaliny. W częstokole oddzielającym ogród wypadłe szczyrby źle zaplecionym na prędcie połatano płotem.

Obszerne to dosyć było domostwo; pan Boikowski przeszedł naprzód wielką sień pustą, w której od dawna zgasła, wisiała u sufitu potłuczona latarnia, zajrzał potem do niemniej rozległej kawiarni, w której parawany tworzyły osobny pokój Fruni, a zastawszy tu tylko dziewczynkę u komina drzemiącą, śmiało uderzył w klamkę bawialnego pokoju.

Troje okien z niego wychodziło na ogród, posepuy, czarny i pusty, ożywiony tylko kilką bliższymi domu grzędami kwiatów; dwoje drzwi wiodły na prawo i lewo. Stara kanapa, stół, gierdydonik z filizankami, piec kaflowy, kilkanaście krzeseł, ubierały niedostatecznie smutną tę i chłodną salkę. Posadzka w niej chwiała się pod nogami, dziwne doliny i pagórki kształtując, a dawne małowanie obrnkane, pozatyńkowane miejscami, gdzie indziej opadłe, przykro sprzeczało się z otaczającą je zapyłoną pobiałą. Wielki portret mężczyzny, w dawnym polskim stroju, na przeciw zwierciadła wiszący, ożywił trochę tę pustkę.

Boikowski przeszedł z niej na prawo, nie starając

się wcale o przygłuszenie stukotu, jaki podkute jego buty robiły; owszem, umyślnie zdawał się stąpać głośno. Drugi pokój cały był zajęty kobiecym sprzętem, krosienkami różnego rodzaju, stoliczkami, krzesłami, poduszkami; ale w nim równie nikogo nie znalazł pan ekonom. Świeżo widać rzucona książka do nabożeństwa, przy której leżały na widoku dwa z pieczęciami wielkimi papiery, zdawała się mówić o niedawnem oddaleniu się pani. Boikowski obejrzał się, ramionami rnszył niechętnie i niecierpliwie, tu i owdzie powłókł oczyma z szyderską ciekawością, i nie idąc już dalej, chrząknął parę razy, a potem zakasznął głośno.

— Kto tam?—spytano łagodnie z sąsiedniego pokoju.

— Ta ja, Jaśnie pani, Boikowski.

— A dobrze, właśnie po niego kilka razy już posyłała — odpowiedziała wychodząc z sypialni nie młoda już kobieta. — Dobry wieczór ci, panie Boikowski; powiedz, proszę, niech mi świecę przyniosą.

Skrzywiwszy się, czego po ciemku widać nie było, pan ekonom poszedł kazać dać świecę i powolnie, z przyzwoitą powagą powróciwszy, ujął się za krzesło blisko stojące, nogę na nogę założył, głowę podniósł i czekał.

— Gdzież to pan bywał? — odezwiała się pani zasiadając na kanapie i poprawiając w kolo siebie poduszki.

— Byłem w polu... musiałem być wszędzie kolo gospodarstwa; pani wie, że wszystko na mojej głowie, wydolać trudno, ledwie teraz do domu się przywlokłem.

Dziewczynka z kawiarni przyniosła świecę i szczypce.

— A Stanisław gdzie? — spytała pani.

— Poszedł za panienką na przechadzkę.

— To jeszcze nie powrócili?

— Nie, pani!

Przyniesiona świeca rzuciła na twarz dziedziczki blask, dający się jej lepiej przypatrzyć. Była to niemłoda kobieta, blada, okryta wczesnemi marszczkami, które piękne niegdyś rysy zmieuiły, z oczyma zapadłemi, z ciałem zgiętem, z wyrazem zużycia i boleści, który w ruchu, głosie i wejrzeniu zarówno się malował. Widać jeszcze było, jak niegdyś prześliczną być musiała, widać było, że przecierpiane boleści zawczasie z niej smutną zrobiły ruinę. Nie tyle bowiem lata jak raczej nieszczęścia wypiętnowały ślad swego przejścia na jej twarzy; siła życia widocznie pasowała się tu jeszcze z rozkładającym ją ciężarem smutku, z grzyżącą boleścią. Choroba z tych nasion wyrosła, dojadła ją do reszty, i wychudzenie nadzwyczajne, kaszelek krótki, częsty a suchy, blask oczu głęboko pod sklepienie powieki zapadłych, żółto-woskowa bledź, jakieś gorączkowe poruszenia i niepokój zdradzający się co chwila, potem osłabienie nagle... aż nadto wyraźnie stan jej objawiały. Głowa ciężąca pochylała się ciągle na jedno lub drugie ramię, oczy spuszczały ku ziemi przymykając powiekami, całe ciało zginało szukając podpory.

Z trudnością zdawała się nie tylko poruszać, ale mówić nawet. Pomimo cierpienia jednak, nadzwyczaj łagodną i pełną dobroci twarz miała, a dobroć jej zarówno zdawała się pochodzić z usposobień serca i z rozpaczliwego jakiegoś zubożenia. Ubrana była stosownie do wieku, ale z widocznem staraniem i smakiem; nic w tym stroju nie sprzeczało się, nie biło w oczy i wszystkie jego części harmonijną a skromną stanowiły całość.

Taką była pani Żacka, dziedziczka Zaborza, wdowa

po Jerzym Żackim, sędzią *per excellentiam* zwanym, bo długo ten urząd piastował i polubownie we wszystkich sporach współobywateli spełniał go do samej śmierci. Lecz odłóżmy historję jego, a wróćmy do rzeczy.

Pani Żacka sparła się na krawędzi kanapy i słabym głosem odezwała się do ekonoma:

— Mój Boikowski, zobacz-no tam, koło mojej książki nabożnej na stoliku, leżą dwa jakieś dzisiaj przysłane pisma; jestem niezmiernie niespokojna, przeczytaj je i powiedz mi o co to chodzi.

Zbliżył się ekonom, przysunął sobie świecę i począł rozpatrywać się w urzędowych poleceniach.

— Jedno — rzekł — o niedoimkę, a drugie, — dodał po chwili chowając do kieszeni papiery — o podwody.

— Nic więcej?

— Nic więcej.

— Wieleż tam znowu tej niedoimki?

— Tysiąc kilkaset złotych.

— To jakieś nieśmiertelne tysiąc kilkaset złotych; zawsze je płacę, nigdy zapłacić nie mogę.

Boikowski drgnął niecierpliwie i pokręcił wężą.

— Cóż to za dziw — rzekł porywczo — rosną winy i nowe podatki przychodzą.

— Powiedz-że mi, zkąd my to zapłacimy?

— Już co tego jaśnie pani, to nie wiem.

— Ja nie mam nad trzysta złotych — odezwała się pani Żacka niemal z płaczem.

— Co jaśnie pani rozkaże, to ja zrobię.

— Ale poradź-że mi, co ci mam kazać! mamy co do sprzedania?

— Nic nie ma!

— Jakto? już nic? Mieliśmy przecież tyle żyta!

— Żyto się rozeszło na ordynarje, na odsiew, na potrzeby dworu, a trochę jaśnie pani sama sprzedawała.

— Wszak nie więcej nad pięćdziesiąt korcy.

— No! a reszta w rozchodzie.

— Stanisław mi mówił niedawno, że są jeszcze dwie sterty.

Słowa te pani Żackiej, nie śmiało i po cichu wymówione przez nią, były hasłem okropnej, niespodziewanej burzy.

Boikowski zaczerwienił się i konwulsyjnie rzucił, pani Żacka zadrżała.

— Pani bo słucha Stanisława, a stary prawi sam nie wie co, banialuki jakieś wypłata, donosy na mnie robi. On nie może wiedzieć co się u mnie w gospodarstwie dzieje; i nosa w to nie powinien wtykać... to do niego nie należy.

— Ale mój Boikowski, nie gniewaj-że się, bo mi tem przykrość robisz i chorobę; wiesz jak mnie to szkodzi! Cóż tak złego, żem się spytała?

Ekonom przerwał gwałtownie:

— Bo to jaśnie pani źle, bardzo źle, niech mi pani daruje moją szczerłość, że pani lada kogo słucha... Wszyscy tu plotki sieją, a człowiek co pracuje, haruje, co mało duszy nie wyzionie... nie ma u pani wiary i dobrego słowa. Przyznam się, że jeżeli tak dalej wszyscy do mego gospodarstwa mieszać się będą, Stanisław sobie, panna Kunegunda sobie, to ja tu niepotrzebny i za służbę dziękuję.

Z przestraczem porwała się na wpół z kanapy pani Żacka.

— Ale mój Boikowski, nie unoś-że się, proszę cię!—

zawołała niespokojna. — O cóż ci chodzi? Pytam się tylko, to mnie objaśnij.

— Jak Boga kocham, że będę zmuszony jaśnie pani za służbę podziękować.

— Proszę cię, co ci się to stało? cóżem ci tak okropnego powiedziała?

— Ja jestem człowiek honorowy—mówił ciągle Boikowski — mnie sumienie moje droższe nad chleba kawałek, wolę tułać się i na bruku siedzieć, niż żeby mi kto oko zapruszył.

— Ale któż ci co wymawia? Kto cię o co posądza? Upamiętaj się, uspokój się, proszę cię mój Boikowski. Co ci się takiego stało? Najlepszy jesteś człowiek, zupełnie ci wierzę, wszystko zdałam na ręce twoje, ale mnie nieznośnie męczysz temi swojemi wybuchami.

— Jaśnie pani bo wierzy tylko Stanisławowi!

— Stanisław jako człowiek, bardzo się mylić może—odpowiedziała sędzina — muszę mu jednak wierzyć, bo to mój stary i wierny sługa, znam jego pocziwość, znam przywiązanie do nas.

— Przyznam się jaśnie pani, że trzeba nareszcie, żeby pani jednego z nas wybrała.

Sędzina wzięła się za głowę, pochyliła na poręcz, zakaszła.

— Panie Boikowski — odezwiała się wysiloną głosu resztką, — nie dziwacz, proszę cię; pytałam się ciebie o żyto, bo mi istotnie Stanisław mówił, że są jeszcze dwie sterty, i odpowiedz-że mi po prostu, a nie nabawiaj mnie choroby.

Ekenom postrzegł się po niewczasie, że za daleko zabrnął; zmiana głosu zatrwożyła go, zaczął więc żywo z innej beczki.

— Niech jaśnie pani raczy mi darować, jeśli mnie uniosła żywość moja, ale niewiara srożej wszystkiego boli. Życie moje i zdrowie chętnie i ochotnie dla jaśnie pani poświęcam. Bóg świadek, że staram się jak mogę; jedynie przez gorliwość, przez przywiązanie, choć miałem lepsze kondycje, a wołałem tu zostać.

— Bardzo ci dziękuję, wierzę ci kochany-Boikowski, szanuję ciebie, jesteś najpocziwszy człowiek, ale się popraw z tej niepotrzebnej drażliwości; wszakżem ci nic takiego nie powiedziała.

— Ja dla jaśnie pani w ogień i w wodę gotów jestem.

— Dziękuję ci serdecznie; jeśli ja nie potrafię, Bóg ci to nagrodi—przerwała szybko sędzina;—ale proszę wróćmy już do tego o co pytałam. Żyta więc nie ma?

— Magazynowe to jest, ale tego ruszyć nie można.

— A! to więc sterty magazynowe?

— Pszenicy także nie ma.

— Spytałabym cię o przeszloroczną stertę, ale znowu...

— Ja już nie śmiałem o niej wspominać, żeby jaśnie pani nie martwić.

— A cóż się z nią stało?

— Myszy całkowicie ziarno pojadły.

— Doprawdy! całkowicie powiadasz?

— Sama plewa i otręby; nie tylko to u nas tego roku taka szkoda, ale i sąsiedztwie wszędzie. Musiałem ją na poślady obrócić.

— To wyraźne nieszczęście; ale poradź-że mi co mam zrobić; wiesz, że ja twoją szczerą i pocziwą radę cenię.

— Prawdziwie, nie wiem zkądby to wziąć; chyba już u Juchima.

— Masz rację, weźmiemy u Juchima.

— Ale u niego już i tak dwie raty naprzód wzięte

— Dwie raty! Ja nic nie brałam.

— Kwitkami to się wybrało na potrzebę dworską — rzekł chrząkając ekonom.

— Ale któż te kwitki dawał? ja ich nie dawałam.

— Ja sam od siebie, na moją odpowiedzialność — chrząknął znowu Boikowski — to się okaże rejestrami; zdaje się nic, nic, a to się tego przyzbierało.

Sędzina westchnęła żałośnie.

— Gdyby jaśnie pani była łaskawa zobaczyć rejestra...

— O! dajże mi z tem pokój.

— Możeby Juchim zresztą dał jeszcze, choć sposobem pożyczanym? — spytała po chwili.

— Ja jutro z nim o tem pomówię; jeśli nie zechce, to pojedę do miasteczka, uprosimy się do żniwa.

— Rób, proszę cię, co chcesz... jak tylko można; wiesz, że ja nad wszystko obawiam się egzekucji.

— Już ja w tem, że do niej nie przypuszczę...

— Bardzo ci będę wdzięczna.

— Czy jaśnie pani ma co jeszcze do rozkazania?

— Nic więcej, mój kochany Boikowski; jestem słaba, bardzo słaba, potrzebuję spoczynku. Dobra noc ci, i tobie pora trochę spocząć.

— O! już to prawda, że człowiek ledwie dysze; ale dla jaśnie pani gotów jestem do ostatka sił. Nóżki całuję.

— Dobra noc ci, dobra noc.

Boikowski szybko, uśmiechając się, wyszedł widocznie rad z siebie, a pani Żacka pozostała sama, zmęczona, z sił opadła i drżącą ręką zadzwoniła.

Nie rychło weszło toż samo dziewczę zaspane, które jak widać, za wszystkich straż sprawiało w garderobie.

— Gdzie Frunia? — spytała pani Żacka.

— Albo to ja wiem? gdzieś poszła.

— A Kunegunda?

— Także poszła.

— A Stanisław?

— Z panienką.

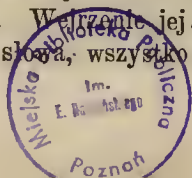
— Jeszcze nie powrócili?

— Zdaje się, że już głos panienki słyszałam w dziedzińcu.

Tych słów domawiała dziewczynka, gdy drzwi od bawialnego pokoju powoli, ostrożnie się otwały, i dwie nowe weszły postacie.

Pierwszą była córka jedynaczka samej pani, Justyna; drugą stary, chudy, maleńki, przygarbiony człowieczek, który drzwi jej otworzywszy, wcisnął się za nią po cichu, ze szczególną troskliwością poglądając na panią Żackę, jakby usiłował rozpoznać, w jakim ją stanie znajdzie.

Justyna była w całym blasku piękności i rozkwitu młodego: oprócz wdzięku i świeżości rysów jej twarzy, opromieniał ją jakiś idealny urok, nadziejską, zachwycającą czyniąc istotą. Miała w sobie coś czystego, smętnego, powietrznego, niemal anielskiego. Jasnych włosów, czarnych oczu, biała, blada, łzawego i magnetycznie poruszającego wejrzenia, kibici wysmukłej a poważnej, nadzwyczaj szlachetnego a niewymuszonego obejścia, wzrosła endem w tym zapadłym Polesia kątku, sama się naturą swą i darem Bożym kształcąc na urocze zjawisko. Nie było w niej nic pospolitego, nic dysharmonijnego, coby zachwiało, ostudziło uwielbienie, jakie wzbudzała na pierwszy rzut oka, pomnażające się bliższem poznaniem. Wejrzenie jej, słodki a smętny półuśmiech, ruchy, słowa, wszystko tworzyło całość zadzi-



wiającej doskonałości i uroku nadzwyczajnego. Piękność jej zresztą nie była czezą i powierzchowną maseczką: czuł każdy, że wynikała z głębi, że była tworem i objawem pięknej duszy, a to ją podwajało jeszcze.

Z czarnych oczów, wilgotnych a ognistych, których spojrzenie wyraźne było i porywające, tryskała myśl żywa, strzelało uczucie śmiało się wyrażające, w najczystszym czerpane źródle. Wszystko w niej nosiło tę cechę dziewictwa, niewinności, rzadką w jej rówieśnicach, a spotęgowującą piękność, która tylko wybrane twory Boże piętnuje. Poglądała odważnie, pytała śmiało, wcale nie pojmując niebezpieczeństwa, tak ją osłaniała tarcza młodości, tchem jeszcze grzechu nieskalanej. Pogodna zawsze, uśmiechniona i wśród wesela zachowywała powagę i jakieś tło smutku wrodzonego, z którym jej dziwnie było do twarzy.

Za panną Justyną stał ów staruszek, równie w swoim rodzaju zastanawiający i wybornie towarzyszący dziewczynie, którą troskliwym macierzyńskim obejmował wejrzeniem, przechodząc ujem z matki na córkę, z córki na matkę. Był to wspomniany już Stanisław Skiba, niegdyś kamerdyner pana sędziego, całowieczny a nieodstępny jego towarzysz, rówieśnik, powiernik... dziś wdowy i sieroty przyjaciel raczej niż sługa. Nie żeby się od posług wyłamywał wiekiem, bo te spełniał ze zżyteczną może gorliwością, nie dając się w nich nikomu zastąpić... ale że godzien był imienia przyjaciela dla swego serca i niezliczonych poświęceń.

Piękną jest każda ofiara, ale ofiara życia całego, zaparcie się siebie, poświęcenie nieustanne, złożone z codziennych, drobnych a ciężkich posług, ponawiających co chwila ślub raz uczyniony ukochanym... najtrudniejszą

jest pewnie i najmniej pospolita. Uczyniona przez rachubę, bez serca, ofiara ta nie ma wartości; ale gdy ją podnosi uczucie, uświęci przywiązanie, jest to bez wątpienia najpiękniejsze, bo najskromniejsze z poświęceń. Życie całe Stanisława składało się z ofiar, ponawianych bez końca, nieocenianych wysoko przez niego, choć istotnie wielkich, z zaparcia ciągłego samego siebie i wszelkiej pamięci na los własny. Wcielił się on był w pana swego, potem w jego rodzinę, przyrósł do niej, i zapomniał o życiu odrębnem, własnem, żyjąc nią tylko.

Serce najpoczeiwsze towarzyszyło w nim wyższemu wykształceniu moralnemu, jakim go obdarzyło obcowanie ciągle z jednym z najpoczeiwszych w świecie ludzi, nieboszczykiem panem Żackim. Prawość pana odbiła się w słudze jego. Od niego wziął on uczciwość posuniętą do ostatecznych jej granic, do przesadzonej delikatności, i nadzwyczajną przytem skromność, łagodność i pokorę, pobożność do uniesień skłonną i dar zapominania o sobie dla bliźnich. Pierwszy zawsze do poświęcenia, ostatni do ocenienia tego co czynił, cichy, mało mówny, czynny pomimo wieku, rozpałał się tylko i oburzał, gdy go trafiało do szaleństwa i niepoczeiwości przybliżył; rozgadywał, gdy o swoim nieboszczyku kochanym mógł przed kim poufale a szeroko rozpowiedzieć. Nigdy zdaje się nie pomyślał o sobie, chyba na tajemnej z Bogiem rozmowie, w której surowo się liczył z tego co zrobił i co był winien uczynić; nigdy nie dopominał się o nic, nawet o najsprawiedliwiej należne.

Życia już resztką spływała mu teraz na tajemnej pracy i czuwaniu nad ukochanymi, lub na cichej, długiej, przerywanej łzą i wspomnieniami modlitwie. Nie mając co robić, wiązał siatkę, oczyszczał drzewka

w obranym kątku wielkiego ogrodu, który zwano ogródkiem Stanisława, chodził z Justynią na przechadzki, lub uczył pacierza i katechizmu wiejskie dzieci.

Maleńki, wychudły, zgarbiony latami, które przeżył, Stanisław miał twarz ujmującą a uśmiechnioną, czoło odkryte i wzniosłe, oko jakby zapłakane, postawę pokorną; chodził cicho, słuchał chętnie, żartował z wesołymi, czasem westchnął niespodzianie, i nie wiedzieć z kąd i dla czego, wśród najweselszej rozmowy łąza mu pociekła po zmarszczonej twarzy i połykał ją nieznacznie, bojąc się otrzeć, by na siebie nie zwrócić uwagi. Ten anioł-stróż Justyni, wszedłszy za nią stanął przy progu, i niespokojnie spojrzawszy na panią, chciał już odejść, gdy go sędzina zobaczyła.

— Mój Stanisławie — odezwała się — proszę cię, cóżes to ty mi przed kilką dniami mówił o życie?

— O życie, pani?

— Tak, o dwóch stertach żyta.

Justysia widocznie niespokojna, obejrzała się na Stanisława.

— A cóżem ja mógł o niem pani powiedzieć? — spytał po cichu stary sługa.

— Mówiłeś mi, że jeszcze dwie sterty mamy.

Stanisław umilkł zamyślony ponuro.

— A tu pokazuje się — kończyła pani Żacka — że żyta prócz magazynowego całkiem nie ma.

— Nie ma! nie ma! — kiwając głową potwórzył jeszcze ciszej Stanisław, widocznie wahając się, czy mówić co myślał, czy zamilczeć, — ale...

— Chociażem zaledwie Boikowskiemu wspomniała o tem, żeś mi mówił o dwóch stertach jeszcze, tak się obruszył, tak na mnie i na ciebie nasrożył, taką mi

zrobił scenę, że jeszcze źle się po niej czuję. Mój kochany Stanisławie, ile razy mówisz mi co podobnego, proszę cię, przekonaj się dobrze wprzód, żebym potem za ciebie nie cierpiała.

Stanisław stał jak przykuty do ziemi, Justyna spoglądała na niego nieśmiało, z politowaniem i współczuciem, bo starcowi dwie łzy kręciły się w oczach. Zdawał się myśleć, usta otworzył jakby już miał wybuchnąć, potem zamknął je, skłonił się tylko i wyszedł powoli.

— Moja droga mamciu — przybiegając do sędziny zaszczębiotała Justysia — cóż to się stało? biedny Stanisław wychodząc miał łzy w oczach.

— Doprawdy? doprawdy? — niespokojnie spytała matka. — Ale bo nie wiesz, jaką z jego przyczyny dostałam burę od Boikowskiego.

— O! to nieznośny człowiek — ze wstrętem ale cicho szepnęła Justysia.

— Ja wiem, że ty go nie lubisz, moje dziecię, wszyscy go tu nie lubią, ale on mi potrzebny, i wiercie mi, nie tak zły jak sądzicie. Ludzie go nie lubią, bo mojego dobra pilnie strzeże. Tak to zawsze kochana Justysiu. Prawda, że gorączka, ale najpocziwszy człowiek i pełen uczucia honoru.

Nic na to nie śmiała odpowiedzieć córka, a sędzina ciągnęła z westchnieniem:

— Pocziwy, dobry Stanisław, serce anielskie, ale stary już, ocięzał i przywiduje mu się często co nie jest. Z tej osobliwszej o nas troskliwości, widzi wszędzie i nieustannie oszukaństwa, kradzieże i podejrzewa każdego. Potrafił toż samo wmówić Kunegundzie i niepokoją mnie oboje razem. Boikowski to moja prawa ręka,

cożbym ja bez niego poradziła sobie?

Wiedziała Justynia dobrze, że matkę sprzeciwianie się drażniło, wszelka zła wiadomość o chorobę przyprowadzała, zamilkła więc, nie śmiejąc już popierać sprawy Stanisława. Poczęła mówić o swojej przechadzce, o powietrzu, o zieloności, o kwiatach, i usiłując chorą rozzerwać, siadła w jej nogach udając wesołość, choć w duszy miała smutek i rada była pobiedz pocieszyć starego sługę, który wyszedł widocznie zmartwiony.

Pani sędzina zbliżeniem się dziecięcia odżyła nieco, ale wyraz boleści i smutku nie stał się z jej twarzy.

Długo tak rozmawiały we dwoje, a że się opóźniała wieczerza, Justysia wzięła w rękę ulubioną matce książkę, Pieśni Karpińskiego i poczęła je czytać. Miły głos czytelniczki dodawał jeszcze wdzięku tej słodkiej i pełnej melancholji poezji. Sędzina słuchała ze łzami w oczach, a gdy córka zaczęła znany wiersz:

Rzeka w górę nie popłynie...

wstrzymała ją, pocałunkiem zamykając usta.

Justysia umilkła, zrozumiawszy, że jakieś tęskne wspomnienie nie dozwalało matce dosłuchać pieśni do końca, i już się biedziła jak obrócić rozmowę, gdy Stanisław z serwetą na ręku oznajmił wieczerzę.

Oczy obojga kobiet podniosły się na starego sługę, szukając na jego twarzy śladów zmartwienia; ale oblicze miał wypogodzone i usta uśmiechnięte pocziwy starzec, bo już swą boleść złożył na ofiarę Bogu i zapomniał o niej w modlitwie.

III.

Wspomnienia.

Nie pojęlibyśmy dobrze charakterów naszego domowego dramatu, nie znając przeszłości osób, które do niego wchodzi; musimy więc na chwilę zobaczyć jeszcze i przypatrzeć się ich nbiegłemu życiu.

Zacznijmy od pani Żackiej. W powieści naszej widzimy ją już podżyłą niewiastą; zrzucmy z niej lat ślady, cierpienie i przebolełe godziny, a okaże się nam dziewczicą w kwiecie wieku, podobną Justysi. Była to przed laty dwudziestu kilku wielka piękność i bogata dziedziczka; rodzice marzyli dla niej świetne losy i zawczasu szukali zięcia w wyższej towarzystwa strefie. Inaczej przecie Bóg losem jej rozrządził. W liczbie osób, które uczęszczały do domu podkomorstwa Zaliwskich, był młody, zupełnie ubogi chłopak, znanego w okolicy imienia, ale sierota i bez majątku.

Pan Józef Żacki, z mnóstwem innych razem, nie wiedząc jak i kiedy, rozkochał się w pannie Anieli. Nikt tam przecie na niego i nie spojrzał, nikt o nim nie myślał w domu, a podkomorstwu ani się śniło, żeby mu córkę oddać mogli.

Pan podkomorzy, mając na wydaniu pannę tak piękną, bogatą, a na owe czasy jak najskromniej i najświetniej wychowaną, i po staroświecku nie przypuszczając, by swoją wolę mieć mogła, wcześniej rozpoczął układy z ojcem hrabiego Platenberga o wydanie jej za najstarszego syna, który podówczas w stolicy się

znajdował. Panna Aniela nic o tem jeszcze nie wiedziała; dla pokrycia umowy, którą do czasu stary hrabia chciał mieć tajemną, dawano bale i przypuszczano młodzież, nie broniąc nikomu wstępu do gościnnego i otwartego domu podkomorstwa. Józef Żacki, sąsiad bliski, począł bywać coraz częściej, i niepostrzeżenie, bo go nikt nawet nie posądzał o staranie, wkradł się do serca panny.

Nie dziw, był to choć ubogi ale wielce już wówczas szanowany, prawy, szlachetny i miły człowiek. Do powierzchowności ujmującej, do słodczy pełnej twarzy, łączył charakter wzniosły, energję wielką i dobroć niewyczerpaną, rzadkiem szczęściem połączone razem. Wśród młodzieży szalejącej, durzącej się zabawą bez celu, hulającej ze stratą drogiego czasu i drogich często talentów, on jeden wyróżniał się korzystnie. Oddany pracy i ukształceniu się pożytecznemu na przyszłość, którą sam sobie budować musiał, usposobiony do czynnego życia, Józef Żacki skromny i cichy nie rościł wiele, nie marzył o nadzwyczajnych powodzeniach i naprzód powiedział sobie, że żadnej nagrody od losu za to co dla siebie uczyni, co dla ludzi zrobi, żądać nie ma prawa.

Jakkolwiek podobiała mu się panna Aniela, nie przyszło mu na myśl nigdy, by się z nią mógł ożenić; oceniał dobrze położenie swoje i nadzieje podkomorstwa, pojmował czego rodzice życzyć mogą dla córki, i jedyną oznaką jego przywiązania do pięknej podkomorzanki było, że w ciszy serca zapowiedział sobie:—Nie znajdę takiej i drugiej, bo nie ma ich dwie na świecie... a więc się nie ożenie.

Jak piorunem razila go w początku nadzieja, którą wyczytał w oczach panny, potem wyraźniejsze coraz

oznaki jej przywiązania. Serce zabiło mu gwałtownie, w oczach zamgliło się na chwilę, ujechał do ubogiego domku swego i surowo rozmyślać począł nad sobą.

Mylić się nie mógł, Aniela go kochała; miłość jej pozyskał niespodzianie, mimowolnie; uczucie to, wywołane najniewinniej, wyrzucał sobie teraz jak zbrodnię. Po co mu było jeździć, na co uczęszczać do tego domu, gdy obudzone przywiązanie, cierpieniem tylko tej którą kochał, zawrzeć się musiało?...

Łzy puściły mu się z oczu, wahał się chwilę, ale uczucie pocziwe i szlachetne zwyciężyło.

— Byłbym niegodziwym — rzekł sobie — gdybym dłużej siebie i ją nadzieją prózną miał karmić; ona młoda jeszcze, przywiąże się do kogo innego, do tego kogo jej rodzice wybiorą, przeboleje chwilę i zapomni. Ja usunąć się muszę, bo tak każe sumienie.

I z bolem serca uczynił postanowienie niebywania u podkomorstwa; a nigdy żadnego stanowczego kroku nie zwykł był cofać, dawszy raz sobie słowo.

Usiłując zagłuszyć serce, oddał się pracy zabójczej, zamknął się w domu i pod pozorem choroby, pół roku spędził w najzupełniejszej samotności.

Spostrzeżono wkrótce, że panna Aniela dziwnie się zmieniła i z wesołego dziewczęcia stała się smutną i zamyśloną panienką; miłość a raczej cierpienie nagła sprowadziły dojrzałość. Cały tłum młodzieży wirujący w okół, rozbawić jej nie mógł, wymyślane rozrywki rozweselić: pobladła, zPOCHMURNIAŁA, stała się bardzo pobożną, milczącą i zdrowie coraz widoczniej opuszczać ją zaczęło. Troskliwi o nią rodzice wzięli to w początku za skutek przemijający rozwinięcia; lecz gdy się przeciągało i zwiększało, przelekli się i zadrżeli. Różnym

powodom przypisywano tę zmianę; powołano lekarzy, rozpoczęto leki; matka wywiozła ją do wód, potem do Warszawy, gdzie młody hrabia Platenberg rozpoczął widoczne staranie.

Nadaremne były wszystkie środki, Anielka w oczach schła, niszczała, ginęła. Hrabia się jej oświadczył, a wypadek ten tak straszny wywarł na nią skutek, że przełknięci rodzice, szczególnie matka, wpadli wreszcie na myśl wybadania jej, czy jaka tajemna skłonność nie jest wszystkiemu przyczyną. Aniela ani na chwilę nie przypuściła, żeby się ojen i matce sprzeciwić można, ale przywiązanie jej do Żackiego tak było nadzwyczajne, tak potężne, iż zezwalając na żądanie rodziców, uczuła jakby ją żywą w grób zagrzebano; a silne wrażenie o mało ją o śmierć nie przyprawiło. Biedni podkomorstwo we łzach, na modlitwie, spędzili miesiąc męki straszliwej u łóżka swego dziecięcia. Już serce matki poczynало coś przeczuwać, wreszcie lekarz jeden stary zwrócił ich uwagę na to, że powodem choroby zdaje się być cierpienie moralne.

Chora siedziała jeszcze w krześle, nie mając siły się podnieść, gdy splakana matka i ojciec strapiiony przyszli do niej oboje. Podkomorzy kilka tylko słów przemówił, ogólnie zapewniając Anielę o swojem przywiązaniu i gotowości uczynienia dla niej, co tylko będzie podobna. Została matka sama, a ta już niewytrzymawszy niepewności, upadła na kolana przed córką i zaklęła ją na wszystko w świecie, aby jej odkryła jeśli miała co na sercu, boleści jakiej tajemnej, obawy, strapienia...

Aniela zmieszana, że się jej tajemnicy domyślano, z początku nic mówić nie chciała; nareszcie pieszczotami wydobyła z niej matka wyznanie ciche, które ojen za-

niosła. Stary zastanowił się chwilę długą, pomyślał smutnie nad wywrotem swoich nadziei i odezwał się w końcu :

— Dziej się wola Boża, moja jejmość ! Wola Boża ! Powiedz jej niech-że się tem nie trapi. Z hrabią grzeecznie zerwę, a jeżeli pan Józef uczciwy jak był, i przemówi za nim bliższe poznanie, nie będę przeciwny.

Wkrótce potem, gdy Aniela nieco do sił nadzieję przyszła, wyjechali podkomorstwo z Warszawy na wieś.

Żacki w ciągu tego wszystkiego pracował w domu i starał się uparte wspomnienie Anieli z pamięci swej i serca wyrzucić nowemi wrażeniami, osłonić je myślami poważniejszymi... nadaremnie ! I on cierpiał i on zapomnieć nie mógł. Podwajał lekarstwa, choroba się zwiększała.

W tem jednego poranku, gdy zamknięty siedzi w ubogim swoim domku, krytym słomą, — zaturkotało pod oknami, a Stanisław przybiega, oznajmując przestraszony, że podkomorzy, sam podkomorzy *in persona* przyjechał. Istotnie było się czego przestraszyć, bo podkomorzy prawie nigdzie nie bywał, a Żacki tak wielkiego i rzadkiego gościa nie miał czem przyjąć w swej chacie ubogiej.

Wyszedł na próg z powitaniem, blady i drżący, pomięszany, osłupiały niemal ; zdziwił się widząc w gościu choć większą wytrwałością i dłuższego życia doświadczeniem nieco pokryte, ale jeszcze widocznie się przebijające też same uczucia trwogi jakiegś i zakłopotania. Podkomorzy był równie zmieszany ; zdawało się, że nie wiedział od czego zacząć, i gdy zwykle na wymowie aż do zbytku rozwlekłej mu nie zbywało, tu mu prawie słów brakło.

Jakoś przecie z wielką obudwu radością przełamali pierwsze lody i podkomorzy zaraz zaczął o interesie, pod którego pokrywką przyjechał do Żackiego, życząc sobie niby rady jego zasięgnąć. Pokazało się, że chcąc coś o tem gruntowniej wyrzec, potrzeba było papiery rozpatrzyć; nie miał ich z sobą sąsiad, umyślnie nie wzięwszy, i zaprosił pana Józefa do siebie.

Żacki rozmaitemi sposobami wymówić się starał od tego, ale gdy podkomorzy nareszcie począł mu przemawiać, że chyba domu jego odwiedzić nie chce i braterskim afektem gardzi... potrzeba było bytność przyrzec. Pojechał więc zaproszony na konferencję; tu jakby na większe jego udręczenie, już o interesie nie wspomniano: wyszły matka i córka, przyjmowano go jak gościa. Młody człowiek przeląkł się, widząc zmienioną bardzo Anielę; już ją ożywiała nadzieja, a jeszcze ślady długiej boleści nosiła w twarzy i całej postaci. Nadszedł wieczór, ani wzmianki o papierach... nazajutrz już się o nie Żacki przypominał; pokazało się, że ich w domu nie było i posłano dopiero po nie do jakiegoś prawnika; tymczasem nie puszczano go i zatrzymywano ciągle. Pod różnemi pozorami wyrывał się, chcąc odjechać, ale nie mógł: rozpacz i przestrasz ogarniać go zaczynały.

Podkomorzy nie spuszczał oka z młodzieńca. Trzeciego czy czwartego nareszcie dnia ukazały się papiery na stole.

Sprawa to była tego rodzaju, że sąd o niej najlepiej mógł dać poznać człowieka; darujemy podkomorzemu, że się takiego chwycił wybiegu: zamierzył on sobie doświadczyć poczciwości Żackiego; zadawał mu pytanie, na które odpowiedź o losie jego stanowiąc miała. Zasta-

rzala pretensja, dawno zaniechana, była w istocie prawna ale nieprawą; myślał starzec, że młody człowiek przez pochlebstwo może dla niego, przez słabość, przez występłą grzeczność, wyda o niej wyrok na jego stronę korzystny. Byłoby to niechybnie zgubiło Żackiego, okazując niewyrobiony i nieenergiczny charakter; ale on ani na chwilę się nie zachwiał: przejrzał dokumenta, rozpoznał naturę procesu, a choć podkomorzy bardzo swej pretensji na pozór bronił, młody prawnik wręcz mu odpowiedział:

— Mylisz się, szanowny panie, jak się często mylą ludzie własną sądząc sprawę; podług mnie, gdyby nawet wygrana być miała, co bardzo być może, wznawiana być nie powinna... sumienie na to nie pozwala. Może być pozornie dobrą, złą jest w istocie, bo Bóg by ją zawsze przeciw podkomorzemu osądził. Azatem życzę jej zaniechać.

Rozpłakał się starzec z radości, i nie mogąc wytrzymać, uściśkał młodego człowieka, który tą zmianą w sposobie widzenia rzeczy, tak nagłą i niespodzianą, zdziwiony był nadzwyczajnie. Chciał zaraz potem odejść, ale go już po staropolsku napadł podkomorzy i nie puścił z domu.

Po obiedzie poszli panowie do gabinetu gospodarza; tu zwróciła się rozmowa nie wiem jak na los dzieci, na pretendentów panny Anieli, i ojciec od niechcenia rzekł do Żackiego:

— Co się tyczy mojej córki, dawno to sobie powiedziałem, że jej bronić nie będę, choćby sobie najuboższego człowieka, byle uczciwego wybrała. Wszystko się nabywa, a serce i sumienie, komu ich Bóg nie dał, najtrudniej. Będzie miała dosyć po nas, chleba jej nie za-

braknie, a jak szczęścia domowego nie znajdzie, i chleb najbielszy zgorzknie. Powiadam asindziejowi, że ją wydam za kogo zechce sama, choćby nie miał za co koni sobie kupić do wózka i dokąd ją zaprowadzić... byle co pocziwego!

— Daruj panie podkomorzy — przerwał Zacki zadziwiony — to nie moja rzecz... aleśmy inaczej dawniej o jego zamiarach słyszeli.

— Mogło to być trochę inaczej w istocie — rzekł powolnie stary — ale człowiek czasem i zmylić się może, a omyliwszy poprawić powinien. Mnie chodzi o szczęście córki, a nie o tytuł dla niej.

Bardzo to było wyraźne, i kto inny na miejscu Żackiego, byłby już roił sobie; ale on nadto był skromny; zresztą sądził, że to są słowa na wiatr tylko wyrzeczone; odjechał więc, najserdeczniej zapraszany, znowu rozkochany, rozmarzony, ale z postanowieniem unikania Anieli. Nie przypuszczał, żeby go tak wielkie, tak niesłychane szczęście spotkać miało.

Tymczasem rodzice Anieli, opowiedziawszy sobie wzajemnie, co uczynili, cieszyli się nadzieją, że zbliżyli do córki jej wybranego i ukochanego. Czekali potem tydzień, dwa, miesiąc. Aniela znowu chorować poczęła. Podkomorzy się przeląkł, trochę się pogniewał, a widząc że inaczej Żackiego nie pociągnie, pojechał do niego, przygotowany, choć go to kosztowało, do najotwartszego postępowania.

Zdziwił się znowu samotnik, gdy kolasa bogatego sąsiada u drzwi się jego zatrzymała; powitali się oba zmieszani, czując coś niezwykajnego wiszącego nad ich głowami. Starzec długo prawił, dla dodania sobie odwagi, o rzeczach obojętnych, wahał się, odkładał, wreszcie

przysunawszy krzesło i biorąc za ręce Józefa, rzekł mu:

— Kochany panie Żacki, na Boga milego nie bierz ze złej strony co ci powiem, bo muszę, choć mnie to wiele kosztuje. Bywałeś w domu naszym dawniej częściej; nie posadzam cię wcale, żebyś podstępnie starał się pozyskać przywiązanie naszej córki, wiem, że tego byś się nie dopuścił bez zezwolenia i wiedzy rodziców... ale... Bóg widać tak chciał żeby cię Aniela pokochała. Chcieliśmy ją wydać za syna hrabiego Platenberga; rozchorowała się nam i matka na niej wymogła wyznanie, że Asindzieja kocha. Nie możesz się tego nie dorożumiewać... dziś przyszło do tego, że ja, ojciec, sam ci to mówić muszę. Aniela chora, ratuj ją i ratuj nas!

Podkomorzy rozplakał się domawiając tych wyrazów, łzy płynęły mu po siwych włosach. Żacki stał chwilę ośłupiały, potem do nóg mu się rzucił jak długi. Gdy ochłonęli oba, młody człowiek wytłumaczył mu się z całego swojego postępowania i ucałowawszy ręce przysłego teścia, pojechał z nim razem do Zaborza.

Z zadziwieniem przyjęło sąsiedztwo wiadomość, że ubogi chłopak, wedle niektórych nie mający za sobą, żenił się z bogatą dziedziczką, z jedynaczką, z podkomorzanką. Wieść ta była powodem do tysiąca komentarzów i plotek; byli tacy co jej wiary nie dawali, byli co ją najniegodziwiej tłumaczyli; ale po dwóch miesiącach zaproszono na wesele i państwo młodzi osiedli w Zaborzu, a podkomorstwo wynieśli się do drugiej wioski.

Życie Żackich z sobą było tylko dalszym i nieprzerwanym ciągiem wzajemnego, niezachwianego niczem przywiązania i błogiem przedłużeniem niespodziewanego szczę-

ścia. Ale jak nic na świecie nie jest bez bólesci i kropli goryczy, w początku bezdzietność, potem powolna utrata majątku, zatruty im pożywie. Żacki, pomimo starań, mimo pracy najusilniejszej, całkiem oddany usługom społeczeństwa, gotów do ofiar z siebie, ujrzał w rękach swych powolnie topniejące zapasy i dostatki podkomorzych. Jakaś fatalność narażała go na ciągłe straty, a przyjsie na świat córki, dla której pragnął majątku, ta myśl że tracił nie swoje, ciężko go bolały. Ale im żywiej wysilał się na wydzwignienie zachwianego majątku, pragnąc przywrócić do kwitnącego stanu, tem zdaje się szybszym krokiem szło wszystko ku ruinie. Gospodarstwo było najlepsze, dochody znaczne, cóż kiedy nadzwyczajne wydatki, podróże, mieszkanie w mieście i coś niepojętego, tajemniczego, jak robaki toczyły zbiór jego. Józef tracił chwilami głowę i niemal rozpaczał, brał się z całą mocą duszy do niewdzięcznego zadania, a podolać mu nie umiał.

Tymczasem i żonie choroba młodości, z której była zupełnie wyszła, po jakimś czasie odzywać się poczęła. Potrzeba było szukać lekarzy i jeździć do nich i znowu tracić dla odzyskania zdrowia. Gdyby nie to przypomnienie bolesne, że na świecie nigdy się szczęścia dobić nie można, bo tysiącem dróg lecą na nie cierpienia, jak pszczoły na zapach miodowego kwiatu, gdyby nie obawy o przyszłość żony i dziecka, Józef byłby zupełnie szczęśliwym. Przywiązanie wzajemne małżonków do siebie, oparte na szacunku, wzmocnione dziwną charakterów harmonją, codzień stawało się silniejszym, codzień zdawało się wzrastać. Tymczasem życie poczciwego męża Anieli biegło, pędzone ciąglą dla ludzi pracą. Znajomość prawa, znana jego szlachetność i rozum, je-

dnąły mu zaufanie wszystkich i wybrano go na sędziego, nie pozwolono spocząć chwili. Żacki nigdy nie miał odwagi odmówić swej pomocy, porady, pośrednictwa, gdy ich kto zażądał. Chwytny na wszystkie strony, częstokroć swojego szczęścia swobodnie użyć nie mógł, bo ledwo progu nogą dotknął wracając z jednej strony, już go oczekujący nań w drugą ciągnęli. Ubodzy zwłaszcza pewni zawsze że im ani czasu, ani pieniędzy dla dźwignienia ich nie odmówi, cisnęli się tłumami do Zaborza. Piękny to był widok, ale ciężkie życie.

Coraz częściej chora Aniela stękała na te męża podróże, na ciągłe jego z domu wycieczki, na wieczne dla drugich poświęcenia a zapomnienie o sobie, które majątek i droższe nadeń szczęście domowe pochłaniało; Józef ją zawsze, z łagodnością sobie właściwą, pocieszał pogodnym obliczem, myślą że spełniają to, do czego są obowiązani.

— Ależ czasby, drogi Józefie, pomyśleć nam o sobie! — mówiła po cichu Aniela.

— My myślimy o ludziach tylko — odpowiadał Żacki — a Bóg za to o nas radzić będzie.

I całował ją w czoło uśmiechając się, pocieszając opowiadaniem tego co uczynił, radując się przysporzonym dobrem bliźniego. Tak mijały lata błyskawicą, i oboje podstarzeli w cichem szczęściu u kolebki Justysi. Żacki nie mógł już wyrzec się stanowiska, jakie mu zaufanie i miłość ludzka wyznaczyła; szło więc wszystko po dawnemu, jednakowo. Myle się: sił mu ubywało, a zadania się zwiększały, bo wzrastała sława jego pocziwa i wiara w niego powszechna. Całemi miesiącami niekiedy w dalekiej stronie siedzieć musiał, pracując ponad godzeniem waśni, nad ugaszeniem sporów od-

wiecznych; niespokój o żonę i dziecię, nieustanne natężenie umysłu, poczęły dotąd silną jego budowę rujnować. Żacki zachorował a raczej słabnąć począł i z sił opadać. Nie uważał przecie na to i chciał wytrwać do końca.

Przybywszy raz z Wołynia do domu, od biednej wdowy i sierót, których sprawę z możnymi męża jej krewnymi popierał, rozchorował się tak, że się w łóżko położyć musiał, pierwszy podobno raz w życiu. Wielki i okropny był przestrach w Zaborzu: rozesłano po lekarzy na okolo, ale nim nadjechali, pocziwy Żacki już nie żył. Nie potrafimy odmalować boleści biednej, nieszczęśliwej wdowy; była chwila w której oblakana prawie, przekleła świat i ludzi.

Trzy dni, w przeciagu których przygotowywano się do pogrzebu, siedziała na ziemi u łóża zmarłego męża, nieruchoma, osłupiała, trzymając zimną jego rękę i okrywając ją pocałunkami. Gdy przyszło kłaść go w trumnę, omdlała oderwać musiano siłą.

Lekarze zwątpili o jej życiu, tak silnie wstrząsnęła nią ta strata nie nagrodzona, zostawująca ją samą jedną na świecie, bo rodzice oboje dawno żyć przestali. Dziwny wypadek wrócił jej jeśli nie siły i zdrowie, to przynajmniej trochę uspokojenia, przytomności, ochoty do życia. — Sędzina opowiadała, że we śnie pokazał jej się mąż, z wyrzutem gorzkim i żalem na zapomniane dziecię, dla którego ma obowiązki; — ujął ją za rękę, powiódł do łóžeczka Justysi, dał w dłoń książkę nabożną, rozwartą na godzinkach o opatrności, i dotknąwszy jej czoła zimnemi ustami, zniknął.

Nazajutrz po tym śnie, sędzina wstała, zboliała jeszcze ale przytomna, i pobięła do dawno zapomnianego

pokoju małej Justysi, koło której krzątali się pocziwa Kunegunda i Stanisław. Od tej chwili stała się matką i ośmieliła do życia, uczuwszy jego obowiązki. Ale boleść nie przeszła! została zawsze jedną, zawsze niezwalczoną, czuwając z nią u kolebki, modląc się jej usty o siłę i pomoc z niebios.

Śmierć Żackiego była hasłem nowych strat majątkowych; pokazały się po nim niespodziane a wielkie długi. — Bóg jeden wiedział co z pieniędzmi pozaciąganiem zrobił; nikt nie był mu winien, on wszystkim. Potrzeba było opłacać, a wdowa szanując pamięć ukochaną, choć ściśle obowiązana nie była do umorzenia jego osobistych długów ze swojego majątku, sprzedała dwie wioski, by je zaspokoić. Została przy jednym tylko Zaborzu. Najmniej to ją bolało; co przykrzejszem daleko było, to ze śmiercią męża zapomnienie o nim ludzi, prędkie i niewdzięczne: dawni przyjaciele, ci dla których się poświęcał, którym pracował, pierzchnęli bojaźliwie, jak gdyby się lękali, żeby poświęceniem za poświęcenie, pracą za pracę żonie jego i dziecku wypłacić nie byli obowiązani. Wdowa pozostała osamotniona, opuszczona, bez opieki, bez stosunków; nikt jej ręki nie podał, nikt nie wlał w to serce pociechy współczucia. Ów popularny, ukochany, na rękę noszony Żacki, bez którego żadna się sprawa, żaden dział, żadne nie obeszło zajście, umarł nie tylko ciałem, ale wspomnieniem nawet.

Na pogrzeb zjechali się ledwie bliźsi sąsiedzi i nie pokazali już więcej. Do kilku poufalszych przyjaciół zgłaszała się sędzina o radę, o pomoc, ale jej odpowiedzieli zbyt grzecznymi listami i czczemi słowy, na które widocznie rachować nie było można. Za to wie-

rzyciele bez litości nad wdową i sierotą dokazywali, dopóki im do grosza nie popłacono. Zabolało serce Anieli, zapłakała gorzkimi łzami; w chwili wybuchu uczucia powiedziała sobie, że nie warto poświęcać się dla ludzi, ale wprędce przyszło jej na myśl, co mąż powtarzał zawsze: „Jeżeli czynimy dobrze, nie prosimy nagrody ani od Boga, ani od ludzi; dobre płaci się samo z siebie, podnosząc nas i uzacniając“.

Stanisław Skiba, z włościan maleńkiej wioseczki niegdyś rodziców Żackiego pochodzący, od dzieciństwa był przy nieboszczyku. Dwaj ci ludzie zrosli się rzecz można z sobą i jeden bez drugiego nie stąpił. Żacki z młodości uczył Skibę i kierował sam początkowem jego ukształceniem; przykład pocziwego i obcowanie z nim dokonały reszty. Stanisław stał się tem, czemeśmy go już odmalowali, wzorem poświęcenia cichego a całkowitego, i zaparcia się siebie dla drugih. W ciągu kilkunastu lat nie odstąpił on swego pana na chwilę, towarzyszył mu we wszystkich podróżach i wpływał, rzecz można, do wszystkich spraw, które sądził. Często bowiem Żacki, w zawikłanych sporach, nie wahał się odzywać do czystego, prostego a pocziwego rozumu i serca Stanisława. Stanisław pomyślał chwilę, spojrzał w oczy panu, jakby z nich miał zaczerpnąć natchnienia i powiedział zdanie swoje, które nigdy nie zboczyło z drogi sumienia. Potem rozsądziwszy tak często trudne zagadnienie, szedł pokornie buty czyścić i śpiewać godzinki.

Co najdziwniejszem było w Stanisławie i odznaczało go wśród mnóstwa jemu podobnych sług, umiających się nad stan swój podnieść duszą, to, że przyjaźń pana, szacunek ludzi, znaczenie do jakiego doszedł, nie wzbiły

go wcale w dumę, nie uczyniły zarozumiałym i pysznym, jak się to najczęściej trafia; nigdy nie zaparł się pochodzenia swego, nie przypytywał do szlachectwa, które u nas nadaje wdzianie cieńszej sukni i szuwakso-
wanych butów. Pojmował on, że prawdziwe szlachectwo całe jest w duszy człowieka; przeczuł naturę tej instytucji, która więcej wymaga niż daje, większe wkłada obowiązki niż prawa. Uszlachcał się wewnętrznie, a gdy pochlebcy niezręczni zwali go panem Skibińskim, wręcz im odpowiadał, że jest synem chłopca i zowie się po prostu Skibą.

— Nie gardzę ja szlachcicem — powiadał — i owszem, ale go kraść nie myślę; zresztą, na świecie mi ono nie bardzo potrzebne, a święty Piotr o papiery nie pyta.

Po stracie pana, Stanisław długi czas był niepo-
cieszony, i gdyby nie ta wiara, która go podtrzymy-
wała, kto wie jakby był skończył; szczęściem, urato-
wała go pobożność i poszedł także do pokoju Justysi,
rozpłakał się i tu pozostał. Odtąd był niańką, piastu-
nem, aniołem-stróżem dziecięcia; nie odstępował go na
chwilę, strzegł z daleka gdy mu obowiązki zbliżyć się
nie dozwalały, a czuwaniu około niego, koło domu i
pani, resztę życia poświęcił.

Wdowa, wypieszczona przez rodziców niegdyś, potem
przez troskliwego męża, opuszczona dziś od wszystkich,
nie przywykła do zajęcia, bojaźliwa nad miarę, łatwo-
wierna jak wszyscy poczciwi, gdyby nie Stanisław, nie-
ustannym byłaby oszukaństwa łupem. On jeden czuwał
nad nią, nad jej mieniem, bronił ją w potrzebie i nie-
ulekniony narażał się wszystkim, bojął z otaczającymi,
nie dając jej uczynić najmniejszej krzywdy.

A że mu chodziło o to aby swojego dopiąć, nie

żeby się z uczynku pochwalić, wszystkie swe czynności przypisywał jej samej i najtroskliwiej się ich zapierał. Co tylko uczynił, było z rozkazu pani, co wyszperał, to ona się domyśliła lub doszła, co dokonał, to drogą przez nią wskazaną.

Obok niego, we dworze żywej duszy życzliwej nie miała sędzina, prócz starej panny Kunegundy, dalekiej krewnej Żackiego, dziś klucznicy w Zaborzu. Razem ze Stanisławem powszechna ścigała ją nienawiść; równie jak Stanisław umiała ją znieść umysłem spokojnym. Panna Kunegunda, niegdyś miła i piękna panienka, ubogich rodziców, którzy ekonomowali całe życie, córka, miała w swoim czasie bogatego pretendenta, który ją później, rozmyśliwszy się i dając rodzicom odwieść od ożenienia... opuścił. Od tej pamiętnej epoki nie myślała już o zamażpójściu, a że ją przykro dotknął zawód doznany, dostała była na czas lekkiego pomieszania, które później zmieniło się w poważny i cichy smutek. Wzięta przez Żackiego do Zaborza, w początku była bez zajęcia, potem zabrała do siebie klucze, i w milczeniu pracować poczęła, usiłując się za kawałek chleba i przytułek wywdzięczyć. Ludzie jej nie lubili, ale ona najmniej na to uważała; najczęściej na miotane obelgi i wyrzuty złośliwe nie raczyła nawet odpowiadać.

Traf nieszczęśliwy sprowadził do Zaborza przed parą laty Boikowskiego, który piękne miał świadectwa i rekomendacje, na jakich u nas nie zbywa najgorszym, bo nikt nie waha się stręczyć drugim, czego sam radby się jak najrychlej pozbyć. Jest to może źle zrozumiane pobłażanie. Ostatnią służbą Boikowskiego była ekonomia w Zielonce, wiosce pana Alfreda Kalanki. Tam on się ożenił z niejaką panną Teresą Szwarc, która w wielkiem

była zachowaniu u dziedzica, a ludzie o tem rozmaicie mówili. Teresa była córką fabrykanta powozów, w pobliskiem miasteczku dawniej zamieszkałego. — Boikowski, zręczny a śmiały, wiele o sobie mówiący, umiejący zachwalać się bez miary, potrafił w krótcie dowieść, że jest niezbędnym w Zaborzu. Sędzina, której w początku trochę lepiej służył, odganiając od niej wszelkie zajęcie, za co mu nadzwyczaj była wdzięczna, tak przywykła powoli do niego, że się już obejść nie mogła. Zasiadł więc w Zaborzu, a gdy mu się jeszcze udało parę razy doniesienia Kunegundy i Stanisława zniszczyć wymową hałaśną, krzykiem i zaklęciami, w których honoru i uczciwości a sumienia nie szczędził, puścił sobie cugle zupełnie.

Widzieliśmy już jak go uważała sędzina, a poczciwi słudzy niemal rozpaczali, żeby oczy pani na niegodziwości jego otworzyć kiedy mogli. Stanisław sam tylko nadziei nie tracił; wiedział, że wstępnym bojem nie pokona nieprzyjaciela, bo go nie przekrzyczy; czyhał na niego po cichu, upatrując tylko chwili.

Po wieczerzy gdy sędzina powlokła się na swoją kanapkę znowu, resztę wieczora spędzając wedle zwyczaju z Kunegundą i Justysią, stary Stanisław, uprzątnawszy kredens, zamknawszy naczynia, osadziwszy na swoim miejscu lokaja, odszedł do swej izdebki w oficynie.

Miał on przy kuchni, blisko dworu, nie wielkie schronienko, które od lat dwudziestu kilku zajmował. Było to coś nakształt celi zakonnika: jedno okienko wychodziło z niej na ogród, patrząc na ścieżkę wiodącą od folwarku do dworu; maleńkie, twarde łóżecko, obwieszane obrazkami świętych, stoliczek ze starą szkatułką i kuferek pod nim, trochę rupieci w symetrycznym po-

rządki porozkładanych, kilka książek do nabożeństwa, przyciśnionych okularami, całem były Stanisława bogactwem. Ale to ubogie mienie jego ułożone było tak wdzięcznie, utrzymane tak czysto, że się większem i piękniejszym przez to wydawało. W kąteczku przy piecu, maleńki stoliczek, zasłany czystą serwetą, miał na sobie rodzaj ołtarzyka, przed którym zwykł był się modlić Stanisław. Stał na nim wielki drewniany krucyfiks w pośrodku, z owalnym u podnóża na blasze malowanym obrazkiem N. Panny Częstochowskiej; obok, w ramach złocistych Ś. Stanisław wskrzeszający Piotrowina; z obu stron krzyża, w szafirowych buteleczkach były świeże z bzu i jaśminu bukiety, odnawiane codziennie. Na ziemi miejsce przeciwko krucyfiksu wyklęczane było tak, że w podłodze ślady kolan starca wyraźnie się wygniotły.

Wszedłszy do swej izdebki z zapalonym w kuchni kawałkiem świecy, Stanisław postawił ją na stoliku pod oknem, a sam zabrał się do porządkowania. Widać było, że lubił ład i nigdy go dosyć nie miał, bo przekładał, ścierał, ustawiał, podmiał, zdmuchiwał, a obejrzawszy wszystkie kąty, pozbierawszy nawet opadłe z bukietów przy krucyfiksie kwiateczki, zrzuciwszy śmiecie do pieca, począł dopiero się modlić.

Kilka westchnień ciężkich wyrwało mu się z piersi, gdy za duszę pana swego litanję odmawiał; potem począł inne modlitwy, uderzył się w piersi i powstał. Uchylił nieco drzwi i zawołał:

— Maciek!

Coś zaszeleściało od strony kuchni, i wkrótce ukazał się na progu mały, chudy, czarny, osmolony, zbiedzony chłopaczek, mogący mieć lat dwanaście lub nieco więcej. Strój jego okazywał kuchtę biednego, pomywacza

radłów, nieszczęśliwe popychadło, którem się wszyscy wysługują, a którego szturchają wszyscy, który każdego słuchać musi, a od nikogo dobrego nie posłyszysz słowa. W tłustych i zakopconych spodeńkach, w brudnej koszulinie wydartej na łokciach, z włosiem najeżonym na głowie, nie umyty, zawałany, Maciek mimo to wszystko miał twarzyczkę wesołą, pojętną, na której dwoje małych, czarnych oczu, okrągłych jak tarczki, ruchawo świeciły. Stał w progu i uklonił się.

— No, cóż tam, robota twoja w kuchni skończona? — zapytał Stanisław.

— O! jeszcze mi się cztery radle zostało, ale stróż obiecał za mnie wyszorować.

— Masz więc czas?

— A już teraz mam.

— Gdzież twój elementarz?

Maciek poszedł do kątki i wyjął z niego zwiniętą w trąbkę szarą książczykę z drewnianą skazówką.

Z nią przystąpił do stoliczka; stary usiadł na swoim łóżku i powoli rozpoczęła się nauka wieczorna. Trwała ona dobrze pół godziny, a po niej nastąpiły pytania i przestrogi.

— A mówiłeś dziś pacierz moje dziecko? — spytał naprzód Stanisław.

— Kiedyż czasu nie było. Do świtu musiałem latać po wsi za jajami i kurą, potem trzeba było podpalić pod blachą, stoły poszorować, do ogrodu zbiedz.

— Alboż to biegając nie można się modlić? — rzekł stary. — Pan Bóg od ciebie przyjmie i bieganą modlitwę, kiedy jej klęczący zmówić nie masz czasu. Drugi raz jej nie opuszczaj. To jedno; drugie: słyszałem jakieś się tam dał z Hryćkiem, mając się za coś lepszego od

niego, dla tego, że ja cię czytać uczę. Możesz więc wyjść na urwisa; ja cię nie uczę na to, żebyś się tem chelpił, żebyś nosa zadzierał, ale żebyś naprzód umiał się panu Bogu pomodlić, a potem lepiej ludziom służyć. Nauka powinna być pokorna, inaczej na nic się nie zdała.

— Ja bo... proszę pana — mówił kuchta zaczerwieniony — ja bo...

— Już lepiej nie kłam, bo tem jeszcze sprawę pogorszysz — odparł stary — com słyszał to dobrze słyszałem. Im kto rozumniejszy, tem pokorniejszy i cichszy. Chrystus był Bogiem, to jest samą mądrością i siłą, a dawał przykład cichości i pokory. Inaczej, moje serce, jak zobaczę, że się nie poprawisz, to cię uczyć przestanę. A teraz masz oto chleba kawałek i kilka łyżek strawy, możeś nie podjadł; ja nie jestem głodny, weź je sobie i idź spocząć; a pamiętaj com ci mówił.

Maciek pokłonił się, schwycił talerz i kromkę i zniknął.

Długo potem jeszcze chodził staruszek po swojej izdebce, powoli do snu się zabierając. Już się był w części rozebrał i miał świecę zgasić, szepcząc resztę modlitw, gdy z lekka zapukano do drzwi.

Niezwykłem to być musiało, bo się Stanisław bardzo zastanowił i trochę może nawet nastraszył; przyszło mu na myśl, czy pani lub panienka nie zachorowała, czy nie przysyłają po co do niego; chwycił na siebie kapotę, gdy w tem otworzyły się drzwi nieco i dziwna głowa ukazała się z nich, poruszając w milczeniu z błagającym wejrzeniem.

Zjawisko to bardzo mogło przstraszyć; bo nie wiem, czy kiedy malarz fiamandski lub sztycharz tworzący

fantazyjnych dziadów głowy, co poczwarniejszego mógł wymyślić. Łeb to był ogromny, kudłaty, w którym jedno ślepie krwawą obramowane oprawą, połyskiwało z pod brwi zwieszanej, w pół czarnej, na wpół zsiwiałej; pofałdowane czoło, brodawkami okryte, nos czerwony i gulowaty, usta z kilką żółtymi zębami, oślinione i wykoszlawione, broda rzadkim, dawno niegolonym sterczącym włosem nasiana, harmonijnie wykończyły ton odrażający potworu. Jednego oka mu brakło, a pozostałe po niem miejsce zdawało się rozwarłe krwią jeszcze płynącą i łzami. Stanisław trochę się cofnął.

— A ty tu jeszcze? — rzekł surowo, — mówilem ci już żebyś więcej nie przychodził do mnie. Obiecałeś mi i przysiągłeś poprawę a pijesz; dawnobym już chciał co dla ciebie uczynić, wolę pocziwszemu dopomódz. Nie godzi się do zguby ci rękę wyciągać, idź sobie, idź, mówię ci, żebyś mi tu nie był we dworze. Znowu wczoraj widzieli cię pijanego.

Straszny łeb żebraka ciągle błagając poruszał się tylko w milczeniu; reszta nie śmiała progu przestąpić; krwawe oko błyskało zwracając się na starca, który ze wstrętem uchylał się.

— Dałem ci suknię porządną, przepiłeś ją niegodnie; dałem ci kilka groszy, zostawiłeś je w karczmie, wszystko to wiem; dość tego, idź sobie, mówię ci, idź sobie.

Żebrek nie ustępował, milczał a stał uparty, jakby wiedział, że się wreszcie ulituje nad nim Stanisław.

— Nie kuś mnie zły człowieku, — żywiej coraz mówił stary; — nie wart już jesteś litości, kiedy się sam gubisz.

Nareszcie głos się od drzwi odezwał schryplę, słaby i drżący.

— Ej, panie Stanisławie, darcjcie mi tylko ten osta-

tni raz... Na co mam kłamać, wy wszystko wiecie... prawda, że mnie ta szelmoska gorzałka pociągnęła, że mnie te juchy żydy obdarli, ale com leżał w rowie to nie moja wina.

— Jak to nie twoja? a po cóżeś się upił?

— To prawda żem się upił, alebym był tak nie leżał, żeby nie djabli...

Stanisław nieznacznie się uśmiechnąwszy ruszył ramionami.

— Djabli, — rzekł, — znowu djabli! zawsze składasz na nich; najgorszy djabeł to twój nałóg obrzydły, który już z ciebie zrobił żebraka, a uczyni ci gorzej jeszcze, bo cię wiekuiście potępi. Djabła trzeźwy krzyżem odpędzi, pijany nie może ręki podnieść; wie to szatan i w'azi na niego bezkarnie. Po cóż pijesz?

— Czyżbym ja pił żeby nie djabli? — odpowiedziała głowa z za drzwi. — Pozwólcie mi tylko wszystko wyśpowiadać jak było, a sami zobaczycie...

— Nie wchodź tylko, bo mi izbę zasmrodzisz; prześmiardłeś wódką i zgnilizną jak stara kufa; otwórz drzwi i stój na progu.

Posłuszny żebrak puścił kłamkę, roztworzył drzwi i ukazał się w całej okazałości. Norblin byłby go radośnie pochwycił na blachę, taki to był malowniczy obraz nędzy, spodlenia i zezwierzęcenia ostatecznego. Głowa zapowiadała resztę, ciało nie zadało jej wcale kłamstwa. Pokręcony, pogięty, zgarbiony, złamany żebrak opierał się na kiju i kuli; noga jedna wlokła się za nim bezwładna, grubo obwinięta łachmanami; druga wpół naga, ozuwał zrobiony ze starego buta trzewik i oszarpane spodnie. Jakiś nieopisany szczątek odzienia, niezliczonemi łatami okryty, wisiał mu na grzbiecie; ręce reszotka tylko zdartej wniwec koszuli osłaniała.

Sparł się o uszak ubogi, i w pokornej postawie, tak począł mówić z cicha:

— Już to wiecie panie Stanisławie dobrodzieju, że nigdybym nie przyszedł do takiego nieszczęścia, żeby mnie ten skurczypałka szatan nie prześladował...

— Powiedz lepiej nałóg — przerwał Stanisław.

— A z czegoż ten nałóg, kiedy nie z szatana! — odparł wzdychając pijak. — Znaliście mnie, widzieli; nikt mi nie powie żebym co niepocziwego w życiu zrobił, żebym ukradł, żebym skłamał, żebym...

— No, no, nie chwal się.

— Co to i wspominać, gorzej tylko serce boli; wszystkiemu winien skurczypałka. Jeszcze jakim był kre-dencерem u nieboszczyka, świeć Panie nad duszą jego, toć mi się wódka i nie śniła; jednego razu...

— Mówiłeś mi to już do syta... wiem...

— Bo taki tak prawda; pierwszy raz com się tej gorzałki napił, to mnie djabeł pokusił. Przysięgnę że on. Byłem za potrzebą dworską u Moszka, a wiecie że nie pijałem; wchodzi ktoś, przyjechał skurczypałka na czarnym koniu, przystojnie odziany, surdut sajetowy, ale śmierdział bestyja! Niby jakiś majster, niby oficjalista od smoły, myślałem sobie, a grzeczny jak chleb z miodem. Ja sobie stoję z boku, ten ni z tego ni z owego do mnie obcesem, w gawędę, w różne czułości, a nakoniec tyć!... kieliszeczek wódki mi stawia. Ja mu mówię że nie piję, nic to, jak zaczął prosić, jak zaczął psia wiara molestować, — ha! myślę sobie, kieliszeczek, nie otрую się i wypilem. A to mnie i zgubiło... słowo honoru. Nazajutrz spojrzę a ja w karczmie leżę, a ów jegomość już dmuchnął; tyleż go i widziałem. Ot, jak mnie skurczypałka podprowadził.

— Miałeś mi mówić i wytłumaczyć się ze wczorajszego, a pleciesz stare androny, które tysiąc już razy od ciebie słyszałem.

— Otóż to wracam do dzisiejszego; czyżbym ja, zakławszy się że waszej kapoty i złotówki nie przepiję, mógł taką podłość zrobić i u żyda ją zostawić, żeby nie djabeł! Słowo honoru! sami pomiarkujcie! Albo że-
bym się w błocie walał?

— A jednakże to było? Któż temu winien, czy znowu oficjalista od smoły?

— Słowo honoru daję panu Stanisławowi, że nie ja...

— Zapewne, nie ty, ale wódka.

— Od razu, widzi pan Stanisław, tak się raptem wstrzymać, żeby już ani kropli nie pić, będąc wprzód-
trochę nałogowym, nie można; mogłoby być nieszczęście,
choroba, albo i gorzej! Słowo honoru... doktor mi to
jeden mówił bardzo uczony. Myślę ja tedy sobie, pod
szelmą i kpem nie wypiję tylko jeden maleńki kieliszeczek,
dla żołądka...

— Widzisz, że to nie djabeł ci pić kazał, ale ty sam.

— Ale poczekajcież. Wszedłem do Moszka, słowo
honoru sobie dawszy; a u mnie słowo honoru, to już
największa rzecz... Moszkowa daje mi kieliszeczek za
dwa grosze, jak pana szanuję, że tylko za dwa; biorę
go do ust i jakoś kiedy już przechylałem, tak, że
wstrzymać się było niepodobna... kiedy spojrze. A! pa-
nie com ja tam zobaczył!

— A cóż? wódkę trutniu!

— Gdzie tam! gdzie tam! Ta bestja, skurczypałka,
djabeł widząc, że już inaczej rady sobie ze mną nie da,
wlażł w kieliszek! Widziałem go własnemi oczyma, ot
tak, jak teraz na pana i dobrodzieja mego najlaska-

wszego patrzę; wiercił kopytkami po kieliszku i podskakiwał. Nimem ja się spostrzegł, już mi siedział w żołądku; plulem nadaremnie, chciałem wyrzucić, niesposób! Dopieroż jak nie zacznie mi dokazywać od pięt począwszy do głowy i nie wiem już co się ze mną stało dalej... a to prawda, że Moszkowa i kapotę jegomością i złotówkę potem zabrała.

Stanisław nie mogąc się nie uśmiechnąć, prędko jednak przybrał surową postać sędziego.

— Janie, Janie, rzekł, — nie durz mnie, bo nie odurzysz, i bez pomocy djabła zguba cię czeka doczesna i wiekuista, jeśli się nie poprawisz. Jesteś, a przynajmniej byłeś pocziwy, to wiem...

— A! a widzi pan Stanisław.. co prawda to prawda, a pocziwość grunt. Nawet raz na drodze dwieście złotych zgubionych znalazłszy, wicie sami, że je oddałem do rąk; nawet mi znaleźnego więcej nie dali tylko sześć groszy, śledzia i kwartę wódki.

— Ale cię twój nałóg zgubił i dogubi: straciłeś zdrowie...

— E! to kołton, panie Stanisławie...

— To wódka! panie Janie.

— A kołton nic innego tylko djabeł, — cicho dodał żebrak — to już wiadoma rzecz...

— Nigdyż się już nie upamiętasz? nie poprawisz?

Jan westchnął żałośnie, może nawet szczerze.

— Patrz-ino, proszę cię; ja i ty byliśmy jednego stanu ludźmi, wyszliśmy z jednej wioski; mogłeś tak jak ja kończyć spokojnie i uczciwie, aleś sam nie chciał.

— Poradźcież mi, co ja mam robić... z tym skurczy-palką — ciszej domówił żebrak. Stanisław ramionami ruszył.

— A dajcież mi co zjeść, bo dalibóg dwa dni nie w ustach nie miałem.

— Czemużeś wprzód o tem nie mówił? — zapytał z wymówką stary sługa, i spiesźnie poszedł do szafeczki w ścianie. — Masz jedz i idź spać do ogrodu, do budki, a nie oddalaj mi się. Jutro ci wyszukam jakiej płachty znowu, pieniędzy już grosza nie dam; będziesz mi sadu pilnował, ale za pierwszym razem co do karczmy pójdziesz, nie powracaj więcej do mnie.

Żebrak stał widocznie pomieszany.

— Za pozwoleniem pana Stanisława, — odezwał się z niejakim wahaniem — to gotowo być nieszczęście! Wiadoma rzecz, nawet doktorowie powiadają, że od wódki jak od tabaki raptem odwyknąć nie można; mogłoby mnie ubić... Muszę taki choć kieliszeczek czasem...

— A jeśli tak, — rzekł stary — to ruszaj sobie gdzie chcesz; znowu tam jakiego djabła wypijesz, a ja z niemi nie chcę mieć do czynienia.

— Ale gdyby tak jeden tylko kieliszeczek z rana, drugi o południu wedle jedzenia... a trzeci...

— A! a idź-że mi precz! — ofuknął się Stanisław, chcesz żebym cię jeszcze dobijał i rozpajał; coż to znowu jest!

— Trzy tylko kieliszki! trzy nie wielkie kieliszki panie Stanisławie! — błagającym głosem wznowił Jan.

— Jeden to ci dam, niepoprawiony bibuło! — odparł zbywając się go starzec, — ale więcej ani kropli...

— Jeden... co to jeden! tak raptem się wstrzymać, to ja wiem od doktora — może być nieszczęście... żałośliwie skamlał ubogi — jeden to tak jak nic; gdyby zresztą choć dwa to jużbym siedział.

— A więc jak chcesz! jeden ci daję, więcej nie mogę...

— No! to już wola Boża, pójdę się lepiej pod płotami walać, westchnął pijak — ja wiem, że to będzie nieszczęście! Wolę gdzie zginać na ustroniu.

I mówił to tak żałośnie, że staremu Stanisławowi serce się wzruszyło.

— Niech cię już zresztą lichy bierze, — mrknął niechętnie; dam ci dwa kieliszki, ale mi siedź, sadu pilnuj choć jeszcze nie ma czego, i krokiem się nie ruszaj. A jeśli byle raz pójdziesz do karczmy, więcej już do mnie nie powracaj. Kawalek chleba mieć możesz tutaj: szanuj-że go i pilnuj się.

— Za siebie to ja ręczę, słowo honoru! — rzekł żebrak kładnąc nagą rękę na piersiach; tylko za tego prześladowcę, to mi trudno. Oj! żeby to mi tak jakiego dobrego księdza, coby mi na skurczypałkę poradził, byłoby wszystko dobrze, jeszczebym i ja wyszedł na ludzi...

I westchnął nieborak, a zabrawszy chleb i ser do torby, o kuli i kiju powłókł się powolnie przez furtkę ku znanej sobie ogrodowej budzie.

Stanisław wywietrzywszy przyzwoicie izbę po gościu, który schronienie jego a nawet i sień wódką i właściwym jakimś dziadowskim swędem zaraził, pozamykał wszystko i pomodliwszy się jeszcze, zgasiwszy świecę ujął za kij sękowaty, z którym codziennie obchodził dwór do koła. Opatrzywszy kuchnię i oficynę, poszedł do domu mieszkalnego i począwszy od ganku, okrążył go krokiem powolnym, przysłuchując się niekiedy czy wszyscy byli na swoich miejscach, przypatrując się czy światła pogaszone; wreszcie około północks, gdy już, pierwsze kury piał, powrócił do izdebki.

Szczęściem, folwark był daleko i głos z tej strony

przytłumiony drzewami, nie dochodził; byłby bowiem stary Stanisław ze snu się wybił strapieniem, usłyszawszy co się tam działo. Ekonomostwo mieli gości, a wrzawa towarzystwa zabawiającego się na ganku, szeroko się rozlegała. Frunia, pani Boikowska, dwie panny przybyłe z miasteczka, chichotały z kilką mężczyznami, którzy już o mroku, konno, na późną herbatę przyjechali do Zaborza. Tym czasem pod stodołę podjeżdżały spokojnie fury po skradzione zboże, ładowano je z pomocą wartowników, a pszenica owa od myszy zjedzona, jechała nocką do miasta, dokąd już była skontraktowana.

IV.

G o ś c i e.

Nazajutrz rano Justysia była w ogrodzie, a matka jej ostawiona poduszkami, bo słabsza niż zwykle, siedziała, by świeższym powietrzem odetchnąć na ganku od ogrodu. Na bliższych kwiatowych grządkach przesadzając ulubione swe rośliny, Justysia pracowała wesoło, podnosząc niekiedy oczy ku matce, i ciągle wesołą podsycając rozmowę. Stary Stanisław krzątał się tuż przy niej z rydlem i nożem, pomagając swojej panience, w dość dobrym humorze, który nie wiem czy udawał, czy istotnie dzielił z dziewczęciem sierotą.

Był to poranek wiosenny, a w ogródku choć przyjemnie i wilgotno, miło było wonią drzew i rozkwitłych krzewów oddychać; pod staremi jabłoniami rosa jeszcze ukryta perlila się na chwastach i trawkach, i powolnie

ulatniając się w rozgrzanem powietrzu, roznosiła z sobą zapach bzów i jaśminów, bliskie osłaniających płoty.

Cisza głęboka panowała w tym kątku zewsząd okrytym i osłoniętym, do którego gospodarska wrzawa i hałasy dojść nie mogły; przerywał ją niekiedy tylko szelest liści, po których wiaterek uciekający gdzieś przeleciał tajemniczo. Na krzewach świergotały chmury ptasząt, które tam liczne pod opieką Justysi stały gniazda.

Przesadziła już ona była dosyć floksów i portulaków, których dla niej nie wiem zkąd dostał stary Stanisław, gdy ucho matki pierwsze posłyszało turkot przed ganikiem od dziedzińca. Stanisław szybko wdział kapotę i pospieszył zobaczyć kto przyjechał. Minęła chwilka nikt się nie pokazywał, nareszcie drzwi od salki otworzyły się i piękny młody chłopiec w nich się ukazał. Tak mu dobrze było w tych ramach na ciemnem tle pokoju, jak gdyby do portretu stanął. Był to nie wielkiego wzrostu, bardzo kształtny młodzieniec, z wypogodzoną i uśmiechnioną twarzą, z wejrzeniem swobodnem i wesołem; — na czole jego szerokiem i czystem zdawała się mieszkąć myśl pocziwa a skrzydlata, bo i przez niebieskie oczy poglądała pojętnie, i usta wiele także były mówiące. Włos nie długi ale lśniący i złocistemi odbiciami ogrzany, nie zakrywał mu pięknej skroni. Maleńki wąsik zarastał na wierzchniej wardze i zakrecony do góry, jakąś raźną i wojskową dawał mu postawę. Ubrany w czarną czamarkę i wcale nie strojny, trzymał w ręku książkę, rękawiczki i czapkę.

Pani Żacka spojrzała na niego ze swoją zwykłą uprzejmością i dobrocią go witając, ale z cieniem nieukontentowania.

— A ! pan Bolesław !

Justysia, której twarzy w pierwszej chwili widzieć nie było można, bo się bardzo pilnie kwiatkami zajęła, podniosła na głos ten główkę do góry i uśmiechem tylko i skinieniem powitała gościa.

— Jakże się ma pani dobrodziejka ? jak się ma panna Justyna ? — zapytał Bolesław siadając przy wdowie i całując podaną sobie rękę. — Doprawdy, wieki już jak nie byłem w Zaborzu, i tak mi już było tęskno, że wreszcie porzuciwszy gości w domu, choć na chwilę przybiegłem służyć pani. Ale naprzód, jakże zdrowie ?

— Dziękuję ci, panie Bolesławie ; zdrowie moje. — odpowiedziała pani Żacka — zawsze bardzo biedne, lada co mnie poruszy, lada co przestraszy, i lada przestraszy siły odejmuje...

— Niech to pani zda na kogo wszystko co ją może martwić i niepotrzebnie wzruszać. Gospodarstwo i kłopoty, jakie ono za sobą pociąga, to rzecz męska, a ze słabem zdrowiem pani ani podobna do tego się porywać !

— Cóż zrobić przeciw konieczności ?

— Ale, jeśli to tylko konieczność ?

— Zdaje mi się — odpowiedziała wdowa. — Zresztą choć mój Boikowski samowładny tu pan, zawsze w niektórych rzeczach i o mnie otrzeć się coś musi...

W tem Justysia wesoło wbiegła na ganek.

— A co ? mój Zaleski ! przywiozłeś mi go pan ?

— Godziż się nawet pytać o to ? — podnosząc książkę do góry i ukazując ją z wymówką rzekł Bolesław. — Mógłbym rozkazu pani zapomnieć ?

— Dziękuję, bardzo panu dziękuję... i przepraszam.

Justysia się mocno zarumieniała, wzrok matki padł

na ten rumieniec i wdowa westchnęła, smutnie spuszcżając głowę.

Tymczasem młodzi już się sobą zajęli, a żywa rozmowa, w której jak rakieta podrzucane latały słówka skrzydłato, obijała się o uszy matki pilnie jej podsłuchującej.

Nie wiem czemu coraz bardziej zasępiła się biedna pani Żacka, a ile razy ukradkiem wzrok jej pobiegł ku córce, wracał ciężki i chmurny. Młodzi tego nie widzieli: im z sobą było tak dobrze, tak wesoło!

Najobojętniejszy byłby postrzegł, że to nie zwykła tylko sąsiedzka znajomość, że ich już łączył tajemniczy węzeł wiosennego przywiązania, które jeszcze same sobą szczęśliwe, nie patrzy na jutro, nie pamięta na wczoraj, nie widzi co je otacza. Twarz Bolesława promieniała, usta Justysi śmiały się wdzięcznie; stanęli naprzeciw siebie i tak się zagadali, tak zapomnieli, że aż matka, coraz chmurniejsza, pod jakimś pozorem odwołać musiała Justysię.

Córka przybiegła całując jej rękę i wpatrując się w oczy; nie uszła baczności dziecka chmurka zasępiająca twarz matki.

— Czy mamie nie gorzej? — spytała troskliwie.

— Nie! nie moja dziecińo.

— Ale kiedy ja widzę, że mamie coś jest.

— Jak cię kocham, że nie; bądź o mnie spokojna.

Tych kilka słów wymieniły cichutko. Justysia przysunęła żądany stołeczek, poprawiła poduszki i wstała oczyma zwracając się ku Bolesławowi, który wciąż na nią tylko patrzył.

Wzrok jego jednak nie był już wesoły jak przed chwilą; rzekłbyś, że łąą zaszedł kryjomą, i biew się

uad okiem zmarszczyła. Zmianę wyrazu jego oczu postrzegła zaraz Justysia i jakby zdziwiona nią, to w niego to w matkę się wpatrywała; swobodna przed chwilą rozmowa ze złamaunem skrzydłem upadła.

Justysia przysiadła się przy matce, Bolesław wziął krzesło i naprzeciw nich usiadł, a poglądając w ogród, podparłszy się na poręczy, dumać zaczął.

— Gdzieżeś pan bywał temi czasy? — zapytała go pani sędzina, chcąc niedobre przerwać milczenie.

— Ja, pani? Wszędzie! w miasteczku naprzód, na polowauiu, ale najwięcej przy mojej bieduej chorej matce.

— Jakto? chora pani Wilczek?

— O! tak, coraz mi się ma gorzej a gorzej. Wprawdzie się z tem jak może kryje, ale to gorzej jeszcze trapi i niepokoi; jużem i lekarzy przywoził i sam jak na kwiatek chucham i pilnuję; ale są boleści, których ani lekarz żaden, ani synowska troskliwość uleczyć nie potrafi.

Łza zakręciła mu się w oku.

Justysia spuściła oczy, by swoją ukryć przed matką; zamilkli znowu.

Bolesław po przerwie mówił dalej:

— Gdybym choć mógł jej nie odstępować! ale ona się niepokoi, kiedy ciągle przy niej jestem, kłopoce się mojem gospodarstwem, bojąc się, bym go nie opuścił; turbuje się sądząc, że się nudzę, jak gdyby przy matce nudzić się kiedy można; uielitościwa doprawdy wyprawia mnie, odpycha, odpędza. Czyżbym mógł wyjeżdżać na polowanie, gdyby mi nie kazała!

Justysia ciągle z oczów nie spuszczała Bolesława. Zdawała się płacić mu wzrokiem pełnym współczucia, za wszystko co mówił.

— Tak tedy — kończył Bolesław — musiałem trochę, dla zaspokojenia jej, ruszać się i jeździć; ale nigdy i nigdzie nad kilka godzin nie bawiłem; dziś zostawiłem przy niej dawną młodych lat przyjaciółkę, która do nas przyjechała, mogę więc...

Wzrok pani Żackiej wstrzymał dokończenie tych wyrazów; Bolesław zrozumiał niepokój, jaki się w oczach wdowy odmalował, i przerwawszy trochę, dodał ciszej:

— Mogę więc choć godzinę pani poświęcić.

— Dziękuję panu, szczerze dziękuję — cichutko szepnęła wdowa, ale tak zmieszana, że jej podziękowanie wcale inne przybrało znaczenie.

Justysia wstała żywo, przeszła się po ganku, wzrok jej spotkał się z oczyma gościa, spojrzeli na siebie długo, wyraziście, młodo...

— Cóż słyhać w sąsiedztwie? — pokaszłując spytała obojętnie pani Żacka; — myśmy tu jak na pustyni, że o niczem nie wiemy.

— I odemnie nie wiele się pani dowie — rzekł Bolesław — ja także na dobrowolnej pustyni osiadłem; mało z kim żyjemy, tak jak nigdzie nie bywam prócz w Zaborzu, a plotek słuchać nie lubię.

— To zupełnie jak u nas — odezwała się Justysia.

— Przecież niepodobna, żebyś uic a nic nowego nie słyszał? — zapytała sędzina usiłując widocznie sprowadzić rozmowę na tor obojętny.

— A zapewne, nie jestem i ja bez nowin — rzekł Bolesław uśmiechając się jakoś smutnie — ale moje nowiny są zbyt pospolite i nadto może niewinne, by na to im się zasługiwały. Bzy są w kwiecie, lasy wonieją cudownie, słowik śpiewa noce całe, natura w pełni swych sił, w młodej szacie, w wieńcu róż polnych, podnosi

uśmiechnione oblicze, zboża nasze już podrosły, już powiewają falą zielonawą; a majowe pszenice i jarzyny...

Pani Żacka się rozśmiała.

— O, poeta! poeta! — szepnęła po cichu.

— I pani mówi poeta! — smutnie przerwał Bolek — przecież mówiłem o najprozaicniejszej prozie, o życie, pszenicy i jarzynie.

— Tak, ale jak to było poetycznie!

— A! nie prześladuj mnie pani; wszyscy mi już dosyć jak występkiem tą poezją, której ledwie szczyptę mam w duszy, rzucają w oczy... Niestety! nie jest to pochwała! znam się na tem! Za cóż mam cierpieć jak poeta, kiedy nim wcale nie jestem? Ręczę pani, że ze mnie najprzykładniejszy, najgorliwszy tylko hreczkosiej.

— Krzywdzisz siebie, panie Bolesławie — z niejakim przekąsem przerwała mu Żacka; — alboż to źle być poetą?

— Nie wiem pani, ale to wiem, że u nas na kogo powiedzą poeta, to tak jakby go nazwano warjatem. Dla tego odpraszam się od pięknego ale nieszczęśliwego nazwiska. Za poezją idzie marzenie, idzie niepojmowanie świata, ideały, sny i zupełne zapoznanie rzeczywistości... Cóż, gdy bez niej żyć nie można?

— O! prawda! prawda!

— Zapieram się więc poezji, żeby uchodzić, o co mi daleko pilniej, za człowieka statecznego. Wiesz pani, że poecie u nas nikt nie wierzy, nikt bez uśmiechu zdania jego nie przyjmie, nikt w najdrobniejszej nie zaufa sprawie, bojąc się, by do niej nie domieszał tego nieszczęśliwego ideału, który się z niego wszystkimi porami sący.

— Ale kochany panie Bolesławie — rzekła Żacka —

cóż z tego, że się zapierasz nazwiska, gdy w rzeczy podobno tak jest jak mówią.

— Niech-że mi pani tego dowiedzie? Albożem opuścił jaką robotę dla pięknego widoku, pracę w polu dla książki, groch dla ideałów!

— Może gdybyśmy więcej byli z sobą, dałoby się to dowieść; tymczasem nawet z tego co widzę osądziłam pana poetą.

— Straszny to wyrok pani — rzekł Bolesław smutnie zwieszając głowę.

Justysia, która dotąd w milczeniu słuchała rozmowy, zbliżyła się i wzięła do niej.

— Droga mateczko — mówiła po cichu poglądając na gościa — ja w panu Bolesławie nie widzę tak bardzo, tak bardzo poety, żeby go aż nazwać poetą. Juściż w każdym z nas choć za młodu musi być ziarno tego co poezją zowią; musi być chwila rozkwitu... ale ten tylko poeta, w kim nasionko małe, zgłuszone u innych, na krzew kwiecisty wyrasta!

— O jakżeś to pani ślicznie powiedziała! — zrywając się z krzesła zawołał Bolesław — to święta i wielka prawda!... Któż nie poeta trochę; znam żydów co są poetami trochę w swoich handlowych czynnościach, zawsze sobie rojąc więcej, niż być może. Juchim należy podobno do takich poetów; a ja do jego pułku z ochotą przystaję... Jestem zapewne tyle poetą co on...

— Tak mi się pan bronisz — z uśmiechem rzekła wdowa — że i ja mam ochotę swojego nie odstąpić; za coś pana wszyscy tu w okolicy i w sąsiedztwie zowią poetą?

— O! to nie dziw! Najprzód niekiedy czytam i uczę się, to już pierwszy wielki mój grzech; po wtóre nie

lubię hulaśnego towarzystwa i karczemnej rozmowy; po trzecie, umiem żyć samotny; po czwarte, chciano mnie tym stygmatem ukarać za to, że kołmi nie handluje i na sąsiedzkich wieczorkach nie bywam...

— Niech-że i tak będzie — znużona odpowiedziała wdowa — nie jesteś więc pau poeta.

— Nie jestem nim wcale, nie jestem! — zawołał Bolesław — obawiam się tego nazwania jak ognia i zapieram najuroczyściej...

Po tej krótkiej walce rozmawiający ucichli. Justysia zabrała rzeczy swoje porozrzucane w ganku i powoli wyszła się ubierać; Bolesław widział jak brała przez niego przywiezioną książkę i zarumienił się nie wiem czemu, gdy mu z nią znikła z oczu.

Gość i gospodyni domu pozostali sam na sam i chwilę jeszcze milczeli; potem pani Żacka także przeprosiła Bolesława, że musi odejść do siebie, a on wybiegł do ogrodu.

Ze spuszczoną głową, zamyślony, puścił się cienistą ulicą w głąb sadu; twarz jego zdradzała niepokój i smutek.

Zaledwie uszedł kilkadziesiąt kroków, gdy się spotkał ze Stanisławem.

— Dzień dobry kochany panie Stanisławie.

— Dzień dobry panu, dzień dobry — z wyrazem serdecznej uprzejmości odezwał się stary sługa, widocznie gotując się do rozmowy.

— No! cóż tu u was słyhać?

— Nic, kochany panie, wszystko jakoś po staremu.

— Wasza pani czegoś smutna?

— Ona tak panie zawsze! Jakże się jej nie smucić straciwszy takiego człowieka!

— Widywałem ją czasem weselszą... dziś czegoś jakby podrażniona.

— Zwyczajnie to panie, gospodarskie kłopoty, a ona tak słabego zdrowia.

— Cóż to? czy wam gospodarstwo źle idzie, czy interesa?

— A! uchowaj Boże, wszystko jak z płatka, u nas źle iść nie może; sama pani doskonale się na wszystkim zna i prowadzi to jak potrzeba, ale tyle zatrudnień, to ją męczy.

— Chwała Bogu, że to tak dobrze idzie! ja wiedząc, że tu macie Boikowskiego, którego trochę znam, obawiałem się...

Stanisław się uśmiechnął.

— I Boikowski — rzekł — nie jest to tak zły człowiek, a przytem pani, pani! To głowa! ona wszystkiemu zaradzić umie, w jej rękach najgorszy musi być dobrym...

— Nigdy nie sądził, żeby była taką gospodynią.

— Spytaj pan, czem ona nie jest? Gospodyni to już się ma rozumieć; interesu nikt tak nie ogarnie jak ona, człowieka zaraz pozna na wylot, i oto jak ją pan widzisz, taka zdaje się słabintka, a gdzie potrzeba tego się postawić, nie ustąpi, i rady sobie da.

Uśmiechnął się Bolesław nieznacznie.

— Pan bo widzę się śmiesz — rzekł Stanisław — a to tak szczerą prawdą...

— Ale ja nie przeczę.

— A czegożeś się pan uśmiechnął?

— O! to zupełnie z innego powodu, kochany panie Stanisławie.

— Pan bo może myślisz, że ja bałamucę?

— Nie, mój poczciwy Stanisławie.

— No, a u pana tam jak? — zapytał stary sługa — w domu, w gospodarstwie, czy też dobrze?

— Dobrze, dziękuję ci, idzie jako tako.

— E! tylko jako tako!

— Cóż chcesz, jako tako, to już dobrze.

— Nie, panie Bolesławie dobrodzieju, panu to nie powinno być; jeśli zaś pan pozwolisz sobie otwarcie powiedzieć, panu to nie powinno być dobrze, trzeba się starać o lepiej.

— Ja nie pragnę wiele.

— Daruje mi pan, ale w młodości trzeba koniecznie pragnąć wiele, tak jak w targu; potem się z tego trochę spuści, a jeśli się więcej zrazu zaceniło, to się więcej weźmie.

— A kiedy mi to co mam wystarcza?

— Trzeba paneczku mieć zapas wszystkiego, życie długie...

Bolesław zamyślił się i umilkł.

— I on — rzekł sobie w duchu — ma mnie za poetę... Ha! stało się, już się z tego nie wypłaczę.

Stary sługa czule spojrzał na młodzieńca, jakby smutek jego zrozumiał.

— Coś bo mi pan smutny, a to nie dobrze! — rzekł z uczuciem.

— Nie, nie! tak to ci się zdaje, panie Stanisławie...

— I rzadko pan do nas przyjeżdża.

— Mam ci prawdę powiedzieć?

— O! o! bardzobym o nią prosił.

— Któż wie, czy mnie tu wszyscy dobrze widzą?

— O czemuż! czemuż! — zawołał żywo Stanisław — i z kądże to myśl taka przywiduje się panu?

— Nie mam podobno łaski u pani sędziny. — Zafra-

sował się widocznie starzec, co odpowiedzieć, ale żywo pokrył zmieszanie.

— Już to proszę pana dobrodzieja, nasza kochana pani czasem tak umie ludzi próbować; nie potrzeba się lada czem znowu zrażać. O! to kobieta co głęboko i daleko widzi, ona sobie pomyśli nie raz: zobaczymy też czy wytrwa ta przyjaźń na chudej strawie, na trochę chłodniejszym przyjęciu, i tak sobie poprobuje...

Bolesław obejrzał się ku niemu, bo stary tych słów nie dokończywszy, przerwał sobie tok rozmowy i zakończył nagle:

— Są tu bardzo piękne gatunki drzew; owoce z nich wyśmienite, szczepione jeszcze przez nieboszczyka pana podkomorzego, którego portret pan w sali widziałeś... zwłaszcza gruszek mamy tu osobliwych różne rodzaje, jakich w całej okolicy nie znaleźć.

Po za drzewami w tej chwili przesuwała się Frunia, idąca na folwark do Boikowskich. Bolesław zawrócił się do ganku, a stary sługa powłókł się za nim. Nie mówili już więcej do siebie, tylko urywanemi pół-słowami, bo gość się dziwnie zamyślał.

Na ganku, z którego drzwi szklane otworem stały do salki, nikogo nie było, ale biała sukienka migiała wewnątrz; Bolesław przeczuł Justysię, ścisnął za rękę staruszka i wbiegł do pokoju.

Pani sędzina siedziała już na kanapie... córka i ona miały twarze smutne. Nie prędko rozpoczęła się rozmowa i nie poszła już tak łatwo jak rano; gość czując to, pochmurniał także, przebąknął coś o potrzebie powrotu do matki i prędzej niż chciał i zamierzał, odjechał.

Justysia pożegnała go wejrzeniem wymowniejszem nad wyrazy, strapionem i pragnącem nadziei. Tak we-

soło począł się im ranek, tak smutno przerwał wyrazistym niepokojem matki, który się odbił w ich sercu. W ganku na odjezdnie, stary Stanisław podał sam płaszcz panu Bolesławowi.

— Niepotrzebnie pan się spieszysz — szepnął mu z cicha — panią trochę głowa boli, ale toby przeszło; niech-że pan o nas na długo nie zapomina.

— Dziękuję ci, kochany Stanisławie.

— Doprawdy, doprawdy, wkrótce urodziny pani, proszę nie zapominać.

W tem konie ruszyły i gość pożegnany wejrzeniem czułem starca, odjechał.

W salce Justysia chodziła ciągle, a pani Żacka ze spuszczoną głową siedziała jak wryta: długo tak słowo z ich ust nie wyszło.

— Co czytasz Justysiu? — spytała wdowa po półgodzinnem milczeniu.

— Zaleskiego, mamó.

Matka sposepniała więcej jeszcze.

— Dziwnie lubisz poezję i trochę nadto poetów — odezwiała się z westchnieniem.

— Kiedyż jeśli nie dziś mi ich czuć i lubić — odpowiedziała córka. — A prawda, mamciu droga, że ty także lubisz Karpińskiego?

— I może dla tego nie chciałabym, drogie dziecię, żebyś się jak ja wcześniej upajała tą niebezpieczną wonią, która jak woń kwiatów mile łechce, ale i zabić może.

— Droga mamciu — przybliżając się i siadając u nóg jej, cicho przemówiło dziecię; — na co nam te dalekie kręgi, mówmy otwarcie. Co mama ma przeciwko panu Bolesławowi?

— Ja? nic! ale twoje pytanie świadczy, że ty jesteś za nim?

— Ja się z tem jak z niczem ukrywać nie myślę... pan Bolesław mi się podoba.

— Dobrze żeś mnie na szczere wyznanie wyprowadziła; powiem ci więc wszystko a wszystko, co mi na sercu ciąży. Widzisz mnie, do czego strapienia, cierpienie i młodej główki choć pocziwy zawrót doprowadził... Na starość sama jedna, opuszczona, zrujnowana, konam; chciałabym umrzeć i boję się zostawić ciebie samą.

Justysia z płaczem jej przerwała:

— Na Boga! nie mówmy o tem...

— Musimy mówić otwarcie, słuchaj dziecię moje. Wiem z doświadczenia, że wiele życia braknie, gdy mu Bóg nie da podstawy rzeczywistej, krótko mówiąc grosza i mienia. Są chwile, w których serce stanie za chleb i wodę, są później inne, gdy skarby świata chcielibyśmy mieć w ręku, by je podesłać pod nogi ukochanym, jak ja tobie. Podobał ci się Bolesław i ja go cenić umiem, ale Bolesław nie żartem poeta. Nie da on sobie nigdy rady na świecie; ubogi, bez stosunków, własną siłą nie dorobi się niczego, a co najgorzej, zawsze trochę marzyć będzie. Z nim czekać cię może ubóstwo, niedostatek, strapienie bez liku... a jako poety ja i sercu jego nie wierzę!

Justysia spuściła głowę.

— Mamciu droga, może ci trochę troskliwość twoja fałszywie pokazuje rzeczy. Nie wiem czemu by Bolesław jak inni w świecie nie poszedł, i nie dobił się czegoś. Sama przyznajesz mu wyższe dary i lepsze wykształcenie; miałołby jaśniejsze świata pojęcie z piękniejszej jego

strony, prowadzić za sobą koniecznie zawody? Mnie się zdaje przeciwnie; przytem on jest poetą tylko, by się napawać poezją; sam jej nie tworzy, a zapal swój hamuje zawsze, ile razyby go chciał unieść z drogi rzeczywistości i powszednich obowiązków.

— Jakżeś wymowna w jego sprawie! — odezwała się matka — nie mówmy lepiej o tem i nie myślmy, Justysiu, zapomnij trochę o panu Bolesławie, zdaje mi się, że nadto główkę ci zawrócił. — Prawda? — spytała ciszej zarumienionej córki — prawda, kochanie moje?

Justysia nic nie odpowiedziała; szczęściem wszedł Stanisław.

— Ot znowu — rzekł — będziemy mieli jakiegoś gościa; widziałem bryczkę i poznałem konie.

— A! któż to taki?

— A to ten pan — jakże się zowie? co tu był kilka razy — z Otrębów... podobno Kalinkowski.

Pani sędzina spojrzała na córkę; ta nie zwykła tać swe uczucia, okazała lekkie zniecierpliwienie.

— To bardzo miły człowiek! — odezwała się sędzina.

— Tak, w Zaborzu może i bardzo miły — mruknął Stanisław — ale potrzeba go widzieć na jarmarku, albo u Szymka gdy z innymi sobie podobnymi hula... oj! tam to zupełnie co innego!

— Nie wiem, czemu ty go Stanisławie nie lubisz?

— Pozwolisz mi pani powiedzieć sobie żywą prawdę, jak to dawniej bywało, aniołowi memu nieboszczykowi mawiałem?

— I owszem kochany Stanisławie; wiesz, że mi to od ciebie mile.

— Powiem pani, że to jest truteń i po wszystkim — żywo zawołał sługa — przebiera się on różnie, ko-

medje gra, ale w gruncie nie dobrego.

— Zmiłuj się, coś bo go za nadto potępiasz!

— Zapewne, że może za szparko go sędzę, ale ile razy tu przyjeżdża, po mnie ciarki chodzą — to nie darmo! I on tu nie bez myśli zagłada, a z Boikowskimi zbytecznie serdeczna przyjaźń...

Szybko to powiedziawszy, Stanisław stał stół przed panią i w chwili gdy gość wchodził, usunął się na bok, okiem go tylko mierząc surowem. Justysia szybko wysunęła się do drugiego pokoju.

Przybyły, któregośmy już widzieli w Zapadni, tak był teraz innym, że ledwie go poznać było można; rzucił wszystkie godła bałagulstwa, wdział suknię odmienną, a z uia zdaje się wyrąz, charakter i mowę. Ubrany był wykwintnie, starannie, z pewną nawet pretensją, wyświeżony, uśmiechnięty, i jak wprzód rubasznym, tak tu grzecznym i nadskakującym wydać się usiłował. Twarz jego miała powłokę spokojną, beznamietną, dobroduszną prawie. Zmiana ta dowodziła wprawdzie wielkiej siły nad sobą, ale znawcę ludzi byłaby przeraziła. Ten człowiek, co się tak zmienił dwa razy, nie byłże w głębi innym jeszcze, i jakim był?

Porównanie go z Bolesławem całe było na korzyść ostatniego: w tym biło serce, tu panowała głowa, a oczów błyski zdradzały gwałtowną namietność. Nie ma niebezpieczniejszej pary nad zimną głowę z gorącemi spojona łądzami — kiedy w nich serce nie bije.

Pan Alfred Kalanka z nadzwyczajną pieściotliwą troskliwością, na palcach przystąpił do pani Żackiej, usiłując jak najmniej zrobić sobą szmeru, przesunąć się jak najciszej i zająć jak najmniej miejsca.

Przysiadł się przy niej od powitania, poprawił jej

usunięty stołeczek pod nogi i wesołą, łatwą rozmowę nieustannie przerywał, dopytując o jej zdrowie, wynosząc auielską starą cierpliwość — jedyną może cnotę jakiej pocziwej kobiecie brakło. Widać było, że ta strategia pospolita trafiła jednak do celu, bo pani Żacka bardzo dobrze przyjęła gościa i była z nim zupełnie swobodną. On ją też bawił, a obojętność córki dla niego, może w nieodgadnionem sercu matki, za nim także przemawiała. Wszystkie matki są trochę zazdrosne: zdaje im się, że miłość ku obcemu odejmie coś od winnego im przywiązania.

Alfred równie swobodny i wesoły, choć się parę razy obejrzał oczyma szukając Justysi, która nie przybywała, utrzymywał ciągle rozmowę, nie dając poznać po sobie czy to na nim jakie robiło wrażenie. Widać było jak usilnie pragnął zabawić gospodynię: prawił jej nowinki z sąsiedztwa, pobudzał do śmiechu, i nie oszczędzał łątek nikomu z bliższych znajomych.

— Nowin masa — mówił szybko — nie wiem tylko czy je wypowiedzieć potrafię i uporządkować jak należy. Pocznę od mojego stryja, jako od najbliżej mi *nieznajomego*.

— Jak to? nieznajomego?

— Nie inaczej, najmniej znamy zawsze najbliższych... to aksjomat.

— Ale czy się o stryju mówić panu godzi?

— Kto ma szczęście takiego jak ja stryja posiadać, jakże nie ma o nim choć mówić? bo innego użytku z tego Bożego daru trudno uczynić.

— Jakiś pan złośliwy!

— Ja! pani! Przecież choć pośmiać mi się z niego, pośmiać! zwłaszcza, że nie podobna aby się z takiego

oryginała obcy i swoi nie śmieli.

— Cóż więc stryj pański?

— Stryj mój zawsze jak najmocniej zajęty powiększaniem fortuny; świeżo wynalazł wysmienity i oszczędny bardzo sposób karmienia wieprzów; ale o nim ze szczegółami powiedzieć trudno. Majątek jego co rok o sto tysięcy się powiększa.

— Tego mu pan zapewne nie masz za złe?

— O! bynajmniej, choć prawdę powiedziawszy, będzie to fortuna tego rodzaju, że nie wiem, czy się w rękach spadkobiercy utrzyma — głos powszechny zapowiada jej rozprószenie.

— Ależ stryj pański nikogo nie skrzywdził?

— Szeroko-by o tem mówić — ale najwięcej siebie; chyba go już za nic nie liczyć?

— Z sobą miał prawo postąpić jak mu się podobało.

— Nie wiem, to kwestja. Sąsiedzi utrzymują, że od niejakiego czasu nie je już jak raz na dzień, przekonawszy się że to jest do utrzymania życia zupełnie dostatecznem, że więcej ruchem i powietrzem niż pokarmem żyć powinien człowiek.

— Biedny skąpiec!

— Druga nowina, że pani marszałkowa pokłóciła się z mężem.

— Co pan mówisz?

— Tak jest istotnie, — jedni utrzymują że wina jego, drudzy że jej wina, a ja że obojga.

— Pogodzą się znowu.

— Teraz wątpię, bo jak wiadomo, tylko do trzech razy sztuka.

Nie wiem jak długo byłyby te plotki trwałe, gdyby nareszcie Justysia nie weszła. Zerwał się na jej przy-

jęcie pan Alfred, obsypał ją mnóstwem francuskich zwietrzałych grzeczności, którym śmieszek właściwy mu towarzyszył, i zaraz przysiadł przy niej usiłując zabawić.

Ale Justysia była poważna, milcząca, zimna jak marmur, nie dawała się ani wprowadzić w rozmowę, ani rozśmieszyć, ani zająć, pomimo wysileń Alfreda, który nareszcie obrócił się znowu do matki. Stanisław przesunął się niekiedy przez pokój, z ukosa spoglądając na przybyłego i ruszając nieznacznie ramionami. Trwało to do wieczora, a o zmierzchn pan Kalanka odjechał.

Matka z pomocą Justysi zawlekła się znużona do łóżka, i tu cicha jeszcze między niemi zawiązała się rozmowa o panu Alfredzie. Pani Żacka gorąco utrzymywała jego stronę, milczała córka, rozeszły się obie zachmurzone.

Stanisław tymczasem mrucząc pacierz uprzątnął w kredensie. Na wyjezdnem, pan Alfred uznał był za potrzebne wsunąć mu kilkanaście złotych w rękę, które starzec z oburzeniem odrzucił. Napróżno gość usiłował go skłonić do przyjęcia, stary sługa na prawdę się pogniewał.

— Truteń — mówił do siebie — myśli mnie przekupić! Ktoś mu powiedział, że stary Stanisław we dworze trochę znaczy, że go czasem pani posłucha — i chce sobie ująć Stanisława! Niedoczekanie twoje! Bądź pocciwy, to się obejdiesz bez brzęczącej rekomendacji. Jaki mi pan! — I wzdychał.

— Bieda z tą pocciwą panią naszą — mówił dalej w sobie — osobliwszą ma słabość do złych ludzi. Pana Bolesława to nie lubi, a tego dragala przyjmuje najlepiej — jabym go jednej godziny za drzwi wyrzucił! I jemu to właśnie starać się o kogo — o moją Justysię!

A wara! a do Fruni, kiedy chcesz basatyku... to samo dobre dla ciebie. Ale jak tu powiedzieć co się wie? Nie uwierzyłaby biedaczka! o nie uwierzyłaby pewnie, bo nie ma pojęcia jakich to ludzi ziemia nosi. O! o! widziało się ich po świecie sporo, tak że teraz ledwie nie wejrzeniem poznam, co pod piękną często siedzi skorpuką. Truteń! myślał mnie przekupić, mnie starego ująć pieniędzmi! o! to mu ciężko darować! Ha! niechby zresztą szedł sobie gdzie pieprz rośnie i koło panienki mi się nie uwijał, darowałbym mu i tę krzywdę. Bo że na to nie pozwolę to nie. — Gdyby mi przyszło nieboszczyka anioła mego z grobu do jejmości sprowadzić.

Powoli jednak, powoli, ja pocziwam moją panię przekonam! Serce złote, ale tak się da ująć lada komu przez tę dobroć swoją!

Mrok padał, noc się zbliżała, Stanisław wyszedł zamysłony do ogrodu i zmierzył ku budzie słomianej, w której powinien się być Jan znajdować.

— Jesteś Janie? zapytał schylając się ku jej otworowi.

— Czy to na wódkę? — ocucając się odparł żywo pijak.

— Jeszcze ci w głowie ta wódka?

— Gdzież tam! gdzie tam, — to tylko względem żołądka, bo się boję żeby od tego nagłego wstrzymania nie było jakiego nieszczęścia — ot cała rzecz, słowo honoru.

— Obchodziłżeś sad?

— A jakże.

— Nie ma szkody?

— A jakąż teraz być może?

— A od folwarku w grzędach?

— Byłem i od folwarku, właśnie wtedy gdy tam gość ten co był we dworze, do Boikowskich zajeżdżał.

— Jak to? był u nich?

— I jest jeszcze podobno, więcej godziny.

— Alboż ekonom w domu? wszak miał jechać do miasteczka?

— I pojechał, ale ekonomowa u siebie — rzekł Jan i odchrząknął wyraziście.

Stanisław głową pokręcił.

— Pójdźno zajrzyj — rzekł — czy jeszcze tam stoi jego bryczka?

— A potem mi dacie kieliszek mój wieczorny? bo bardzo jakoś od wilgoci tej kręci w żołądku.

— Dam, dam ci kieliszek, który ci się słusznie według umowy należy.

— Idę, panie Stanisławie, ale darujcie mi, tylko słowo. Czy u was nie ma we dworze teraz większych kieliszków? to naparstki, z przeproszeniem. Jakiem był jeszcze kredencierzem, pamiętam jedno z gwiazdeczkami — ot to były! — szlacheckie! co się zowie; terazniejsze szkło diabła warte!

Westchnął stary sługa.

— Janie, dość o tej wódce — rzekł surowo.

— Wszakże już idę — przerwał opojus — idę i natychmiast powracam. Co prawda to prawda, te z gwiazdeczkami były co się zowie kielichy i wódkę w nich dawano... Słowo *onoru*!

Zwinał się w istocie prędzej Jan, niżeli się można było po jego kuli i nodze spodziewać; powrócił z doniesieniem, że bryczka stała jeszcze przed folwarkiem. Zamyślił się Stanisław i poszepnął z cicha.

— Dobrze i to wiedzieć.

Zebrak poszedł za nim do oficyn na obiecany kieliszek; a my zajrzemy co się dzieje z panem Alfredem goszczącym na folwarku.

W ciemnym sypialnym pokoiku, pani Boikowska i on siedzieli przy sobie na małej kanapce, ochrzczonoj imieniem kozetki, paląc z kolei z jednego cybucha i rozmawiając po cichu.

— Moja Tereniu — mówił pan Alfred — co raz przyrzekłem to dotrzymam świącie. Pomagajcie mi tutaj, a Otręby na lat trzy wasze będą, i w Zaborzu także panować sobie możecie.

— Patrzcie! toś się tak zakochał w tej ślamazarnej dziecinie.

— A! dajże mi pokój!

— No! to ci się Zaborza zachciało!

— Widzisz, kochana Tereniu, Zaborze ładna wioska i przyległa do majątków, które po moim stryju odziedziczę. Co się tyczy panienki, coś to bardzo rozlazłego; zdaje się, że czasem jej coś z oczów błysnie, ale zaraz zagasa.

— Kto to wie — śmiejąc się i odbierając cybuch odezwała się filuternie pani ekonomowa — może tam co i jest w tych oczach, ale nie dla pana Alfreda.

Porwał się z kanapki pan Kalanka, a Boikowska obrażona tą oznaką uczucia, odepchnęła go silnie.

— Co ci jest? spytał młody człowiek.

— Patrz, jeszcze pyta! a czegoż cię to tak obchodzi!

— Któż ci mówił, że mnie to obchodzi!

— Alboż tego nie widzę?

— Prawdziwie, jesteś zazdrosna do śmieszności.

— O! bo ty mnie oszukujesz! Ty się kochasz w tym dzieciaku!

- Proszę cię! co za myśl!
- Ja to czuję.
- To się mylisz.
- Ja się nigdy nie myłę.
- Cóżżeś przecie chciała mówić.
- A ha! ciekawyś paniczku!
- Jakże nie mam być ciekawy, kiedyś mi przez pół coś powiedziała, a dokończyć nie chcesz.
- I nie dokończę.
- Tereniu! no! jak mnie kochasz!
- Ja ciebie nie kocham.
- Tak już!
- A tak!
- Ale proszę cię, nic dziwnego żem ciekawy; wszak jeśli się mam żenić...
- No, to się ożeń, a ona cię będzie zwodzić.
- Pan Alfred mocno się jakoś zastanowił, pobladł trochę, zaciął zęby.
- Kocha mnie czy nie kocha, odparł sucho się śmiejąc, o to mniejsza, ale zwodzić mnie nie będzie.
- O! będzie!
- Nie dręcz-że mnie, proszę cię.
- No, siadaj waćpan, co mnie to ma obchodzić; powiem ci wszystko. Wiedz wcześniej, że serduszka panny już w domu nie ma. Frunia, która koło niej jest ciągle, a to wielka moja przyjaciółka i sprzymierzeniec, powiada i przysięga, że się kochają, z panem... No zgaduj!
- Jakże chcesz żebym ci odgadł, u was nikt przecie nie bywa.
- Przepraszam, bywa ktoś i był nie dalej jak dziś.
- A! dziś był Bolesław Wilczek! poeta! a! poeta!
- Rozśmiał się szydersko pan Alfred. — To dla mnie wcale

nie jest niebezpieczny człowiek. Będzie się sobie kochał platonicznie.

— Co to jest platonicznie? — z udaną niewiedomością spytała figlarnie Teresa.

— To tak, moje serce, jakieśmy my się kochali przez pierwszy tydzień.

Teresa dała mu klapsa po rękę.

— Doprawdy, nie boisz się Bolesława? — spytała.

— Zlituj się! to biedne chłopię, w głowie Bóg wie co: pocziwy jak Bernardyn, niezręczny jak kulawy koń, a ciemiega jak stary profesor... niech się sobie kocha...

— Ale jeśli ona go kochać będzie?

— Ha! z biedy i na to do czasu pozwalam, bo wcale się go nie boję. Jak się ją tylko ożenie, bywać przestanie, bo to człowiek tego rodzaju co mają zasady.

— Myślisz?

— Jestem tego pewny, kocha się póki myśli że się ożenić może; gdy mu ją z przed nosa schwycę, rozpłaczę się i utrapię, wzywając gwiazd i księżyca na świadectwo swych cierpień. O to chodzi czy ją przed nim pochwycić potrafię — matkę mam dosyć za sobą.

— Podziękuj za to nam — przerwała pani Boikowska; — wszystko to zrobił mój mąż, ona go słucha jak wyroczni. Słaba głowa, bez żadnej energii, bez własnego zdania, jak chcąc kierować nią można. Jeden Stanisław tylko szkodzić ci tu może; Frunię masz za sobą, ale potrzeba, żebyś jej zrobił jaką grzeczność.

— Jaką grzeczność? — spytał Alfred — na wszystkie a wszystkie gotów jestem, chociażby przyszło...

Teresa dała mu znowu klapsa i zawołała:

— A cóż to za łajdak z tego Alfreda!

Panicz się rozśmiał zwycięsko.

— Nie zawsze widzisz z temi grzecznościami udaje mi się; dziś pan Stanisław o mało że mnie nie wyłajał za grzeczność.

— Bo też wybrałeś się do niego z pieniędzmi nie radząc się mnie. Kto tak robi! To stary kutwa pieniądze, nie dba wcale o podarki i nie bierze ich. Jęgo-by nam się pozbyć potrzeba; mąż mój już pracuje nad tem i w ostatku dokaże, jestem pewna.

— Widzę, że mąż twój tutaj wszechmocny.

— Mąż mój — przerwała uśmiechając się ekonomowa — między nami mówiąc, on tylko to robi co ja mu każe — bezemnie i mojego kierunku trzech groszy-by nie był wart.

— O tem wiem, moje kochanie; powróci on dziś do domu?

— Wątpię, wyprawiłam go do miasteczka, wiedząc, że masz być tu dzisiaj, i tyle mu tam dałam do roboty, że ciężko, by do wieczora podołał. Opóźniłam jeszcze umyślnie jego wyjazd.

— A wiedział, że tu mam być?

— Coś tak z lekka mu napomknęłam; widziałam że nie bardzo chciało mu się jechać, bo zawsze ma nas w podejrzeniu, ale ze mną nie przelewki, musiał!

Alfred się zadumał.

— Nie psujmyż sobie sprawy — rzekł — trzeba mi jechać.

— Mógłbyś śmiało zostać jeszcze.

— Powiedzą mu ludzie, że tu siedziałem tak długo.

— I cóż z tego?

— Będzie ci robił wymówki!

— On, mnie! nie śmie! Zakrzyczę go, zahłasuję; w najgorszym razie od czegoż płacz i mdłości! Jak się

rozplącę a dobrze, w nogę mnie tylko pocałuje i koniec.

Alfred śmiał się wesoło i całując Teresę w czoło rzekł powolnie :

— O ! o ! co to za szatańska główka !

Teresie oczy zabłysły.

— Winnam ja tobie — odpowiedziała ; — tyś mnie pierwszy nauczył świata, ludzi, życia, dałeś mi w rękę książki, rzuciłeś myśl we mnie... jestem uczennicą twoją. Dzięki tobie, wyniosłam się nad gmin i dumnam i szczęśliwa ! Wprawdzie czuję, że nie jestem na stanowisku jakim powinna zajmować ; ale z moją twarzyczką i talentem mogę pójść wyżej, muszę i pójdę ! powoli ! powoli ! polecę !

— Tylko nie odlatuj za daleko odemnie.

— O ! nie bój-że się, nie bój ! — z dziwnym ogniem a żywo odparła kobieta — jak szatan swej pastwy, nie puszczę ja ciebie ! Wiesz, że kochać umiem.

— Tak, i zwodzić.

— Wymówki ?

— Nie ! proste tylko przypomnienie !

— Dajmy im pokój ; przecież i zwodzić tyś mnie nauczył. Tak, umiem zwodzić, ale kocham dla tego.

— Przyznam ci się, że tego nie rozumiem.

— Nie potrzeba ci i nie podobna tego pojąć ; tyś sobie mężczyzna.

— Macie więc osobny kodeks dla siebie ?

— Może być, ale go wam nie dajemy czytać.

Rozmowa przeszła w szepty ciche, cichsze coraz i przzerwana została na chwilę. — Długo tak jeszcze siedzieli we dwoje, gdy zegar wreszcie uderzył jedenastą i pan Alfred odjechać musiał.

Teresa pożegnała go w ganku cichem: Bądź zdrów!
— i wróciła do siebie.

Gdy się to na folwarku dzieje, we dworze już cisza
snu panuje; Stanisław obchodzi domostwo kończąc pa-
cierze, gasną światła, a on powraca do swojej izdebki.

Zdziwiony postrzegł w progu przytulonego do sciany
Jana.

— Co ty tu robisz?

— A na wódkę? — rzekł dobroduszenie pijak.

— Co? znowu? — gromiąc ofuknął starzec.

— No! a drugi kieliszek?

— Albożeś go nie pił?

— To to był drugi? a! zapomniałem! przepraszam
pana Stanisława, niech się pan nie gniewa; ja myślałem,
że mi się co należy gratyfikacji za to żeś chodził...
A jeżeli nie, to ja sobie pójdę...

— Ej Janie! Janie! — rzekł Stanisław — widzę, że
już z ciebie nic nie będzie; nie masz siły nad sobą,
bo nie masz woli i postanowienia poprawy.

— A! panie Stanisławie, wy bo mnie nie wierzycie;
świadczę się sumieniem, słowo honoru, a to u mnie
największa rzecz, że radbym z duszy porzucił to gorzał-
czysko; tylko raptownie, strach mi żeby nie było nie-
szczęścia, a druga rzecz, że taki ten djablisko siedzi
we mnie.

Stanisław wszedł do siebie i drzwi mu przed nosem
zamknął.

V.

W O t r ę b a c h.

Zdaje się, że dom młodego nieżonatego człowieka zaraz z daleka poznać można; przynajmniej w Otrębach na chwilę nie wątpił przejeżdżający, że budynek który się dworem nazywał, zamieszkany być musiał przez młodego szalawile.

Mijam to, że dziedziniec pełen był psów i koni, bryczek powyprzeganych, kuso ubranych a wąsatych masztalerzy i kozaków, którzy się wśród niego poufale zabawiali; sama budowa zdradzała charakter posiadacza. Widać było, że dawniej nie zamieszkiwał tu dziedzie, boby choć drzewinę posadził, choć ogródek założył, ocienił się, okopał i pozamykał. Stary folwarczek stał wśród gołego pola, w towarzystwie wylepionej kuchenki i porządniejszej nieco stajni, ukośnie do drogi, ni przypiął ni przyłatał, z rozczochronym jak nieuczesana czupryna i nastrzępionym słomianym dachem, z trzema kominami, z których każdy innego był kalibru, z ganeczkiem świeżo przylepionym do niego, z miną roztrzepaną, jakby się wcale nie troszczył co o nim ludzie powiedzą.

Do starej chatki przyłatało na przedce widać, z jednej strony dwa pokoiki, z drugiej jeden, z oknami na weneckie zakrawającemi, ale widocznie krzywemi od urodzenia. Ściany już były połatane, ale nie wytynkowane jeszcze. Obok leżały kupy cegły porozbijanej, trochę nadgniłego i zczerniałego drzewa, stos gliny i

gromadka piasku, okazujące, że fabryki nie miano jeszcze za skończoną.

Na dziedzińcu toż samo co w domu, wiele rzeczy pozaczynanych nieporządnie, popsutych nim skończonych, nigdzie ładu za trzy grosze. Była ochota ozdobniejszego oparkanienia z białej brzeziny, ale w zimie, dla niedostatku podpałki, użyto części suchych płotów na kuchnię. Był zamiar zrobienia trawnika w środku podwórza, ale również nie doszedł do skutku, bo gorące pomyje i kupki śmiecia, zieloność chudą i proszoną plamiły. Posadzono klombiki tu i owdzie, ale drzewka nie w porze wkopane poschły, a resztę na biczyska i kije połamano, tak, że tylko pieńki pozostawały. W jednym rogu podwórza stał kawałek muru, porzucony i do naprawy pieców nadebrany, a w drugim zrab niski nowego dworu, obrócony na drwalnię.

Wejdźmy teraz do środka, i tu nie lepiej! W sieniach pełno myśliwskich i końskich przyborów: siodeł, wojłoków, harapów, smyczy, trąbek, na kółkach, na ławach, na ścianach i ziemi; płaszcze i burki kupami wałęsają się z krzesel, na których je umieszczono; wrzawa z bawialnych pokoi dochodzi aż tutaj.

Pierwsza, dość duża izba, dokoła ostawiona sofami, na których jeszcze nie zebrane o południu widać pościele gościnne, z dwoma oknami, około których pozawieszane firanki zbrukane, służyły widać często zamiast serwet i chustek do nosa, pełna dymu, pełna gwaru i ludu.

Sama w niej młodzież, z brodami i bez bród, z wąsami i bez wąsów; nasza to młodzież hulacka, krzykliwa, zamaszysta, co ledwie skończywszy szkoły bierze za karty i kieliszek, znajdując w nich ostateczny cel czło-

wieka. Chłopcy na oko przystojne, tegie, żwawe; coż kiedy na nieszczęście, jak nie o koniu, nie o djabie i nie o dziewczynie mowa, gęby nie umieją otworzyć. Najwięksi literaci czytają Bragellona przez Dumasa, w Warszawie przekabaczonego na język nie-polski, Żyda Tułacza jak pani Boikowska, Tajemnice Paryża i Pamiętnik *Nieukowo-literacki* pana Podbereskiego, który już znajdują za głęboko uczonym! *O simplicitas!* Co im tam do tego, że na świecie teraz wiele od ludzi wymagają, żeby się godnie ludźmi nazwać mogli; że utrzymują jakoby było potrzeba nauki, pracy, ładu, przyzwoitości w życiu; że moralna poprawa, dla nas zwłaszcza, jest warunkiem bytu; oni tak nudnych prawd znać nie chcą. Ale też spojrzycie jak weseli! Dwóch wyzwało się kto więcej prostej wódki wypije, i szklanicami leją w siebie do upadłego; dwaj drudzy poszli w zakład kto kogo powali; inni zabierają się już dzikie konie ujeżdżać, a reszta nie tracąc czasu, do djabelka zasiada. Kilku poważniejszych wyłączyło się do preferansa, a w tych liczbie gospodarz.

Szumnie, krzykliwie, hałaśnie, wesoło tutaj; my przejdźmy dalej po cichu.

Drugi pokój już coś zarywa na salonik; firanki przez wpół jedwabne, we drzwiach portjery, posadzka była przed rokiem raz zawoskowana, ale błoto ją na wpół okrywa; kanapa i meble od Testorego, choć dziwnie jakoś pooblamywane; na serwantce cacka, a na ścianach zwierciadła i kilka czarnych bardzo obrazów w złotych ramach.

Ale wśród tego wszystkiego, kurzu, śmiecia, brudu, gałganów więcej jeszcze niż elegancji. Charty leżą na kanapie, na fortepianie futro, na stoliku kalosze, a por-

tjery ktoś żartobliwy pozwiał w kształt kozackich szarawarów. Z tego salonu wprost sypialnia pana : i tu była ochotka upiększenia, ale się skończyło jak wszędzie indziej na samej intencji.

Łóżko przepyszne, dywan nad niem perski, broń liczna i ładnie w rodzaj panoplij związana; cybuchy, fajki, toaleta wykwiśtna, ale popiołu cygarowego pełno wszędzie, woda rozlana w pośrodku, tytoń rozsypany na łóżku, pieniądze garść w szufladzie otwartej, głowa cuku rozplątana na lavabo, funt herbaty w kącie na przy-murku; a Jagoda gospodarny cygara kradnie, obładowuje niemi kieszenie i poglądając ku drzwiom, zabiera się nawet do pieniędzy.

Po cóż mamy iść dalej? tak wszędzie.

W kredensie kozacy w elbika się zarzynają, opalając pańskie cybuchy i fajki; w stajni sztos i družbart z gorzałką, na folwarku piją miód i grają faraona. W kuchni psy poczęły sztukę mięsa, a kucharz spity zasnął, głowę położywszy wygodnie na świeżo przywieszonych flakach.

Niechby sobie zresztą dostatek i ostatek lichu brało i topniały resztki majątku; ale spojrzeć na tych młodzieńców, na ich siły źle użyte, na zabite w zarodku zdolności, na zmarnowane talenta, na czas tak marnie stracony, ciężko nie westchnąć, trudno nie zapłakać! Podśłuchajmy ich rozmowy: trwa ona już trzy dni i trzy nocy... a tak dziwnie czcza, jednostajna i bez-mysłna!

Całe sąsiedztwo przesiano już przez języki złośliwie; jeden drugiego zachęca do złego, ośmiela do rozpusty; szydzą ze skromniejszych, w śmiech obracają pocci-wych; zgnilizna ich wylewa się słowy bezwstydnemi

jak piekło. Znużeni, usypiają na chwilę i budzą się z nową siłą do wczorajszego życia, ani poczuwszy potrzeby zastanowienia się nad sobą, nad zużyciem i spódleniem swoim. Kalanka przewodniczy tej ciżbie hullackiej, która poklaskuje każdemu jego słowu, bierze za wzór każdą jego czynność i stara się choć zdala zbliżyć do tak wysokiej, idealnej doskonałości. Bo też on wyższy zepsuciem nad innych, rozwiązy z rozpustnymi, poważny ze starcami, grzeczny i nadskakujący przy kobietach, w potrzebie trochę literat, wyrokujący o poezji i dziełach sztuki z ostrożnością zręczną, żeby się nie wygadać do dna i nie wydać z pochwytanemi wiadomościami i zdaniem bez ładu i porządku; z szachrajami koniarz, z gospodarzami niby hreczkosiej, słowem codzień inny, codzień nowy, nieodgadniony Proteusz, wzbudza w swym dworze uwielbienie i podziw niezmierny. Lecz zbliżmy się do niego i odsłońmy trochę przeszłości.

Alfred Kalanka, syn rodziców majątnych, których nieład zniszczył, a ubóstwo przedwcześnie do grobu wpędziło, pozostał z dzieciństwa sierotą pod opieką stryja. Stryj ten, o którym już była wzmianka, był to drugi Harpagon, bezwstydnym i najpociesznieszy w świecie skapiec, którego tyle obchodził synowiec, co pastuszki trzodę dworską pasące. W początku, gdy się do niego urzędownie odezwano o opiekę nad małoletnim, chciał się jej wyrzec zupełnie, bojąc się, by go co nie kosztowała; ale gdy się okazało, że Alfred miał resztki majątku, z których skorzystać było można, namyśliwszy się wziął pod swe skrzydła synowca i wioskę.

Eustachy Kalanka stryj, niegdyś dzierżawca wielkich dóbr na Ukrainie, w których ogromny zrobił majątek

środkami niewiadomemi i różnie tłumaczonemi, ale najpewniej niesłychanem i obrzydliwem skapstwem, był człowiekiem monomanem, z jedną tylko myślą chodzącym po świecie. Wszystko a wszystko redukowało się dla niego do robienia pieniędzy, na co, komu? to zrozumieć było trudno, gdyż nie był żonaty i żenić się nie myślał. Najbrudniejsze skapstwo nic go nie kosztowało, nie zawstydzalo go wcale. Jeździł sam do miasteczka предаwać warzywo i drób; żył o chlebie i serze; w niedzielę kazał ucinać uszy i ozory świniom swej trzody na juszke, która dla niego była zbytowym przysmakiem; nic nigdy nie kupował, na nic nie tracił, grosz zbierał a zbierał; co roku prawie nabywał majątek w ziemi, co roku coś do Banku składał; a że majątek do pewnego stopnia pomnożony wzrasta potem olbrzymio, już go na miliony liczono. Zrazu, zagarnawszy części wioski w Otrębach i w Zielonce, pozostałe po rodzicach Alfreda, myślał sierotę wykierować na gorzelnianego pisarza; ale mu się to nie powiodło. Alfred buntował się, uciekał; opuszczenie sieroty wzbudziło uwagę, ludzie zwrócili oczy, sąd się wniósł, poczęto krzyżeć, odebrano pod jakimś pozorem Otręby od opiekuna i chłopca do szkół oddano. Opieka zawsze niby liczyła się przy stryju, ale ograniczała się na tem, że w Zielonce gospodarował i procenta chowając do kieszeni, doskonale w opiece składał rejestra. Alfred tymczasem jako tako skończył szkoły, wiele się rzeczy nie nauczył, bardzo wiele domyślił, do reszty nie miał ochoty. W szesnastym roku fajkę palił okrutnie, wódkę mógł pić szklanką, w karty grał doskonale, słowem był już skończonym młodzieńcem. Do emancypacji zupełnej brakło mu tylko majątku do rąk; kilka lat przewa-

łęsał się po świecie, a gdy długo oczekiwana chwila pełnoletności nadeszła, rozpoczął proces ze stryjem, odebrał mu Zielonkę i życie już niezależne, wesołe, na stopie hulackiej, to jest bez jutra i rachunku, pędzić zaczął.

Karty wprowadziły go do tak zwanych niewiem za co lepszych towarzystw; była bowiem chwila na Wołyniu, gdy wszystkich kto się nawinał z workiem i poniterką, przyjmowano do zielonego stolika. Kalanka, obdarzony sprytem niepospolitym, nabrał powierzchownej ogłady, formy, otarł się, uzuchwalił i wyszedł na przyzwoitego w salonie człowieka. Pod spodem jednak tej politury zewnętrznej zostały wszystkie stare nałogi, wszystkie namiętności pierwszego niczem niehamowanego i zwierzęcego życia. Zielonka, połowa pięknej wioski wołyńskiej, poszła z korkami szampańskiego wina i taljami kart podartych w cudze ręce; poszły odłużone Otręby i dalekie, niepewne na stryju nadzieje. Alfred życzył mu gwałtownej i lekkiej śmierci bez testamentu; bo gdyby stary miał czas rozmyśleć się i rozpisać, wiedział, że mu nic nie zostawi. Sposób życia i bojaźń zgonu, niedająca myśleć o rozporządzeniu, robiły niejaka nadzieję synowcowi.

W takim stanie rzeczy wszyscy znajdowali, że panu Alfredowi pora się było ożenić; ale że jego sposób prowadzenia się, majątek i charakter aż nadto powszechnie były znane, gdzie się tylko posunął, dawano mu jak najprędzej odkosza. Z tych to niepowodzeń wyrósł projekt swatania się do panny Justyny, podany przez kogoś nawiasem, schwycony chciwie gdy ją zobaczył, a do skutku doprowadzić się mogący, bo rachowano nie bez powodu na brak charakteru matki, na przyzwoite formy

młodzieńca, którego nic nie kosztowało pochlebstwo, na odosobnienie pani Żackiej i jej niewiadość tego co ją otaczało; w dodatku zaś przez Boikowskich, którzy dawniej ekonomowali w Zielonce, Alfred miał wstęp niejaki i rekomendację do Zaborza. Teresa była dawną jego przyjaciółką; ona władała mężem, mąż miał przewagę nad panią Żacką, Alfred był śmiały, zręczny, w potrzebie zuchwały; rachowano więc, że to się udać musi.

Właśnie w pierwszym pokoju zgromadzone towarzystwo prześladowało gospodarza z powodu wczorajszej jego w Zaborzu bytności.

— A! — mówił jeden, — darmo się już przynajmniej przed nami nie zapieraj, starasz się o Justysię, to jawna i oczewista. Jeśli się przyznasz, to ci szkodzić nie będziemy; rozgłosim, że się żenisz, i nikt się do niej nie posunie.

— Jakto znać na Michasiu młodość i brak doświadczenia, — odparł szydersko gospodarz; — zdaje mu się, że jak skoro powiedzą o pannie, iż za mąż wychodzi, już nikt i nie spróbuje odbijanego, a to właśnie na świecie przeciwnie; byleby jeden wybrał, roje przylecą.

— No, toś się i przyznał! — przerwał drugi, — choć niedobitnie, ale dla nas dostatecznie. Wybrałeś! Vivat wybrana! Widziałem twoją narzeczoną w kościele; niczego dziewczyna, oczko śliczne, kibić piękna i gibka, szyjka łabędzia, a skromniutka!...

— Wierz kiedyś głupi tej skromności, — zaśmiał się trzeci; — ta skromność już się kocha najpotężniej!

— W panu Alfredzie!

— O ba! tobym o tem i nie mówił!

— No! a w kimże?

- Zgadujcie jeśliście mądrzy.
- W pisarzu prowentowym?
- Wyżej mości panowie.
- W ekonomie?
- Żonaty.
- Nic przecie nie szkodzi.
- Wyżej mości panowie.
- W knratorze magazynowym?
- Wyżej jeszcze.
- W pomocniku?
- O! poszliście złą drogą, nie zgadniecie już widzę.
- No, to powiedz po prostu.
- W poecie!

Wszyscy się mocno śmiać zaczęli, prócz Alfreda, który wesał się z niechęcią widoczną.

— Dałbyś pokój tym żartom, — rzekł serjo bardzo ;
— Bóg wie co pleciesz, a ludzie pomyślą żeś tego z palca nie wyssał.

— Bom i nie wyssał, tak jest!

— W jakim-że poecie?

— A! przecież jednego tylko mamy na cały powiat, w Bolku.

Wszyscy spojrzeli na Alfreda, który wargi zagryzł i począł udawać, że gra z wielką uwagą.

— Dość tych żartów! — szepnął sucho, — proszę cię, dosyć tych żartów.

— Ale to nie żarty.

— Żarty! — dobitnie rzekł Alfred.

— A! jeśli koniecznie chcesz, niech-że będą żarty! — odparł ze śmiechem pierwszy. — Basta!

Wszyscy umilkli, kilka ukośnych spojrzeń padło na Alfreda; on grał zajadle i wściekle przegrywał.

— Muszą to być żarty — przerwał ktoś — bo pan Alfred nieszczęśliwie gra, a... — Gospodarz nie odezwał się, zaczynał świstać, co u niego było oznaką najgorszego humoru.

— Panna jak panna — począł znowu ktoś, żeby rozmowa nie upadła — ale wioska pyszna... Będzie czem zahulać, nieprawda Fredku?

— Myślisz? — spytał gospodarz zimno.

— Alboż nie?

— Wiesz przysłowie: że kto się ożeni, ten się odmieni.

— O! to się już lepiej nie żęń. Żalby nam ciebie było.

— Do nóg upadam!

— Ale któż jest ten Bolek poeta? — odezwał się z kąta gość z Wołynia na Polesie przybyły — ciekawym poleskiego poety; opowiedźcież mi jego biografię jeśli łaska.

— Pan Marjan ma głos, jako najbliższy sąsiad i wymowny... a przynajmniej jako obowiązany do wymowy, bo dwa lata dependował przy adwokacie J...

— Przyjmuję wyzwanie i poczynam biografię: Pan Bolesław jest to młodzian...

— O ba! już młodzian od razu, kiedy ma być biografią, niechże się poczyną od początku; przyjdziemy później do młodziana...

— Chcecie żebym zaczął od Adama i Ewy, czy pozwolicie od potopu?

— Od średnich wieków — rzekł gospodarz.

— Od kolebki poety?...

— A zatem *silentium*.

— Cicho! cicho! pan Marjan ma głos.

— Lat temu kilkadziesiąt, żyli w Polesin na wybrzeżu Wołynia..

— Osobliwsza rzecz, że w Polesiu każda wioska chwali się, że jest wybrzeżem Wołynia.

— Proszę nie przerywać.

— Żyli, powiadam, państwo Wilczkowie.

— Jakto? poeta zowie się Wilczek?

— Czegoż się dziwujesz? wilcy i poeci zarówno lubią lasy.

— Prawda, idźmy dalej.

— Ci tedy państwo Wilczkowie, szlachta, jak dowodzi herbarz, którego mam tylko tom czwarty, bez początku i końca, mieli mająteczek, częśćkę... Pobrali się z afektu, kochali się bardzo, i pan Bóg dał im syna. Chudo było koło nich, chędogo, ale ubogo; wlokło się to jednak dopóki Wilczek był w domu.

— A cóż się z Wilczkiem stało?

— Nie wiem dokładnie co; dość, że wdowa została sama z synkiem i cała się poświęciła wychowaniu jedynaka.

— Cóż to za stworzenie?

— Wypieszczony jedynak, któremu książki głowę zawróciły; w szkołach stronił od wszystkich, czytał i pracował, towarzystwa nie lubił... taki sam i teraz. Trzyma dzierzawę małą, bo im część ich odebrano; niby to gospodaruje, ale mi się wszystko zdaje, że więcej tam musi być gryzmolenia niż czego innego, bo z poczty raz wraz książki odbiera, na pocztę posyła, i nie zobaczysz go bez papieru za nadrą. Od nas stroni jak od ognia; po jarmarkach go nie zobaczyć, w kościele jak kobiecina modli się złożywszy łapki, słowem, coś osobliwszego... nie nasz...

— Więc jeśli go tak malujecie, a on myśli Alfredowi przeszkadzać, cóż to trudnego takiego jegomości przy-

dybać gdzie i dać mu nauczkę. Pójdzie panicz, ani się obejrzy.

— Zdaje mi się — obojętnie przerwał Alfred — że to wszystko marne słowa i gawędy. Wiem, że bywa w Zaborzu, ale od tego do przeszkodzenia mi jeszcze daleko! Dziękuję za życzliwe rady, ale ja moje interesa sam robić zwykłem.

Znowu wszyscy umilkli; jeden zaśpiewał kozaka, reszta chórem ogromnym mu towarzyszyła.

W tem Jagoda przyszedł do pana i coś mu szepnął na ucho; Alfred oddał karty bliższemu, żeby go zastąpił, a sam szybko wyszedł do sypialnego pokoju. Tu już zastał Boikowskiego, którego rękę uściskawszy serdecznie, podał mu krzesło i zadzwonił. Wszedł Jagoda.

— Herbaty i fajek! — zawołał gospodarz.

— Zaraz bat'ku.

— Jak-że mi się masz, kochany panie Michale?

— Bardzo panu dziękuję, zdrów jestem; był pan wczoraj w Zaborzu?

— A jakże! alboż nie z domu?

— Nie, wstąpiłem jadąc z miasteczka; dopiero powracam.

— Byłem i zajeżdżałem do ciebie, nie zastawszy przy-
czekiwałem nawet trochę na twój powrót... układaliśmy
projekta z żoną twoją.

Boikowski się zasepił i potarł czuprynę; postrzegł to Alfred i poprawiając sprawę, dodał:

— Otręby na lat trzy wasze, i Zaborzem do tego zajmować się będziecie, byleby się rzeczy udały.

— O! niech pan będzie spokojny — odparł udobru-
chany Boikowski — udać się nam musi... na to mam
głowę nie dla proporcji. Tylko już pan będzie łaskaw

zda się na mnie i posłucha co ja powiem... Właśnie po części dla tego interesu tu wstąpiłem.

— Dowiedziałeś się czego?

— Trochę.

— Tyczącego się nas?

— Niech-no pan posłucha trochę... Pan Bolesław Wilczek myśli się oświadczać naszej pani do panny Justyny... sprowadza tam jakiegoś sąsiada dla większej powagi, podobno Derewiańskiego... Ja mu tam już jak mogłem buty szyłem i wiem, że pani nie przyjmie, bodajby dziesięciu Derewiańskich go prowadziło; ale potrzeba i panu się może z oświadczeniem pospieszyć.

Alfred zmieszał się bardzo.

— Nie czekając, nie zwlekając, wziąć... kogoby na przykład?

— Potrzeba się namysleć — odparł Alfred zakłopotany.

W istocie, rzecz namysłu wymagała, bo Alfred nie miał nikogo poważniejszego, coby za nim chciał przemówić; zagryzł palce jak zwykły był, gdy nad czem niepomyślnem dumał i milczał. Boikowski kończył:

— Ot, tak panie, wziąć kogo, pojechać i oświadczyć się co najrychlej; ja już panią potroszę do tego przygotuję, potem jeszcze poddmucham, i jak raz słowo dadzą... rzecz skończona. Ale, żeśmy wszyscy śmiertelni — bąknął Boikowski trochę spuszczać oczy i osłaniając się dymem fajki — możeby te nasze umowy zdawało się panu spisać.

Alfred spojrzał, uśmiechnął się...

— Dobrze, — rzekł — tylko pomiarkuj pan sam jak to obrócić, żeby się napisać dało? Dać ci kontrakt trzyletni na Otręby i na ekonomję w Zaborzu, a nuż

się nie udadzą rzeczy, a myśmy wszyscy, jak to wybornie powiedziałeś, śmiertelni...

— No... to napisać tak jakoś warunkowo...

— Widzę, że mi nie wierzysz... mniejsza o to.

— Ale jak Boga kocham, proszę pana, pan mnie nie rozumie.

— Warunkowo! — przerwał Alfred — jeśli napiszę za co ci to daję, gdzież i komu taki doknment będziesz mógł pokazać?

Boikowski w głowę się poskrobał.

— To sęk! — rzekł cicho.

— Żaden to sęk — odparł Alfred — przyjadę do was, naradzimy się z twoją żoną.

— Z moją żoną! — frasobliwie i niechętnie szepnął ekonom.

— Tak, z twoją żoną, która ma dobrą i do interesów głowę... Jakoś to zrobić musimy, żeby był wilk syty i koza cała.

— Możebyśmy mogli i sami?

— No, to powiedz-że mi jak?

Boikowski się zaciął.

— To ja naradzę się już z nią, i do pana dobrodzieja przyjadę.

Gospodarz ukrył lekki pół-uśmiech, odwracając się pod jakimś pozorem do stolika.

— Bardzo dobrze, panie Michale, bardzo dobrze!... jak zechcesz.

— A pan tymczasem niech sobie kogo wyszuka do oświadczenia, na swata, bo tak chcą zwyczaję.

— Dobrze, pomyślę nad tem.

— A teraz pożegnaj, bo tam w Zaborzn wszystko

bezemnie musi być do góry nogami, i pani pewnie już do mnie z dziesięć razy przysyłała.

— Wypij-że herbatę...

— Dziękuję panu, chwili nie mam do stracenia; wszystko tam na mojej głowie; boję się jakiego figla pana Stanisława, potrzeba spieszyć.

Wyprowadził go aż do bryczki pau Alfred, pożegnali się i tłuste mierzynki Boikowskiego pełnym klusem pobiegły drogą do Zaborza.

W istocie pani Żacka, jak się nie źle domyślał Boikowski, kilka razy już przysyłała po ekonoma; biednej kobiecie był on co chwila potrzebny, umiał jej to wmówić, i jak wszystkim śmiałym, bezczelnym a wyszczekanym, doskonale mu się udało przekonać ją, że bez niego stąpić nie potrafi. Dziwimy się nieraz na świecie, widząc świeżemi oczyma fenomena podobne: nałogowe przywiązanie ludzi pocziwych do największych łotrów i zaślepienie ich na wady ulubieńców; ale do tego przychodzi się nieznacznie i stopniowo; ci, którym się to trafia, nie wiedzą sami, jak i kiedy się wpłatali; śmiejemy się z nich dobrodusznie z boku, ale każdy z nas prawie ulega podobnej słabości.

To pewna, że pani Żacka nie mogła się obejść bez tego nieszczęsnego Boikowskiego, nad czem biedny Stanisław utyskiwał nadzwyczajnie, ale rzeczy doszły już były do tego stopnia, że iść przeciwko nim przebojem niepodobna. Stary sługa pierwszy to poczuł; postanowił wyrugować Boikowskiego, ale nie prędzej zamierzał sobie wziąć się do tego, póki by nie miał w rękach niezbitych dowodów fałszu i szalbierstwa.

O te nie było tak łatwo; Boikowski był zręczny, pani Żacka przez zbytnią słabość i obawę zakłócenia

spokoju, który wyżej wszystkiego ceniła, brała za dobre jakiegokolwiek ze strony jego uniewinnienie. Dla tego Stanisław ani próbował już mówić o owem życie, choć doskonale wiedział, że były sterty oprócz magazynowych, które zaszachrować chciano... odłożył to do rozprawy ostatecznej w dzień sądu, na który się powolnie za wąż targając, gotował.

Przyjechawszy Boikowski, zaledwie zsiadł z bryczki i z żoną się przywitał, wypytawszy ludzi co robi pani i czy jest sama, dowiedziawszy się, że Justysia ze Stanisławem poszła na przechadzkę wieczorną, pospieszył do dworu. Zastał panią w jej pokoju na kanapie, z różanicem w rękę, słabą i tęskną, jak zawsze.

— A cóż, mój panie Michale, udało ci się tam w miasteczku?

— Wszystko jaśnie pani zrobiło się jak należy; może jaśnie pani być zupełnie spokojna.

— Egzekucji nie będzie?

— Wyrobiłem to, choć nie bez kosztu, że jej nie postawią.

— A! jakże ci wdzięczną jestem!

— Dałem sto kilkadziesiąt złotych!

— Mniejsza o to, mój Boikowski, ale zkadże je wzięłeś?

— Założyłem swojemi.

— To ci będę winna...

— Nic to, jaśnie pani.

— Cóżś słyshał w miasteczku?

— Żadnych nowin tak dalece; jedną tylko może coby panią obejść mogła, ale o tem wolę i nie mówić.

— Przestraszasz mnie, mój Boikowski; proszę cię cóż to jest? mów, zaklinam na wszystko.

— Wiedząc, że to jaśnie pani może być nieprzyjemnem, chciałem utaić, ale kiedy jaśnie pani rozkazuje...

— Każę, każę mój Boikowski; mów co to jest?

— Choć to mała rzecz, ale myślę, że jaśnie pani nie będzie temu rada.

— Ale cóż to? nie męcz mnie, proszę.

— Już to pani uważać musiała, że nie bez przyczyny jeździ tu pan Wilczek.

— A! istotnie! istotnie, prawdę powiedziawszy, dosyć mnie to martwi.

— Jakże to nie ma martwić; nikt lepiej nad jaśnie panią nie zna się na ludziach, co ja nieraz podziwiam; byle człowiek usta otworzył, już pani wie zdaje się co on myśli i co wart.

— Mój kochany Boikowski, może i nadto wielkie masz o mnie wyobrażenie, ale mnie istotnie doświadczenie nauczyło trochę poznawać serce ludzkie.

— Pan Bolesław, słyszę, ma się już w tych dniach formalnie oświadczyć.

— Otoż jest; ja to już przeczuwałam od dawna. Co tu począć! co tu począć!

— A cóż, proszę pani, to nie ma co i myśleć... odmówić i puścić z kwitkiem; powiem szczerze, to wcale nie jest mąż dla naszej panny. Z niego nigdy nie będzie gospodarz, on do książki stworzony, i jemu książka za wszystko stanie. Przytem ubogi, matkę ma w domu, może jeszcze i ojciec kiedy powróci; wszystko to zwali się na Zaborze.

— Alboż to myślisz ja tego nie przewidywałam i nie przeczuwałam? ale jakże tak odmówić?

— Nie śmiałbym jaśnie pani radzić.

— Cóż przecie myślisz?

— Jeśli mam prawdę mówić, naszej panience podobno pan Bolesław trochę się podoba.

Pani Żacka smutnie zamilkła.

— Formalnie mu od razu odmówiwszy, z oczów zezdzie. Naszej panience potrzeba jakiego porządnego człowieka, gospodarza, wytrawnego. O tym, z przeproszeniem pani, chlystku zapomni. To i lepiej, że się już rzeczy rozwiążą; gdyby dłużej bywał, mogłaby się więcej przywiązać, pani by się ulitowała... uchowaj Boże! mogłaby się zgodzić.

— A! nigdy! nigdy! — zawołała energicznie pani Żacka.

Boikowski się uśmiechnął i wasa pokręcił.

— Pannie Justynie nie zabraknie kawalerów; ot, na przykład pan Alfred, taki piękny, do rzeczy, rozmowny mężczyzna. Choć dziś nie majątny, ale po stryju weźmie miliony... i gospodarz z niego, bo się już wyszumiał. Ja go znam z bliska, bośmy u niego byli na ekonomji w Zielonce; najpocześniejszy człowiek.

— Słyszałam, że trochę hulaka.

— Już ciż to nie bez tego; było to, było dawniej, ale teraz całkiem co innego; w domu taka oszczędność, taki ład, że aż miło, gospodarstwo śliczne, sam go pilnuje i mogę powiedzieć śmiało: rozumie się na tem.

— Że rozsądny i miły to pewna — dodała Żacka.

— A ja tu — zawołał Boikowski ośmielony — nie widzę na około nikogo nad niego. Co się nazywa człowiek!

Wdowa spuściła głowę i znowu zamilkła.

— Za nim, to mogę zaręczyć, że nasza panienka byłaby szczęśliwa i jaśnie pani spokojna; pyłby przed nią zdmuchiwał, tak ją szanuje i wielbi.

— Ale zkądże ty to wiesz?

— Pani dobrodziejko, ile razy się spotkamy, nie może się przedemną nachwalić, nawielbić jaśnie pani... tak o niej mówi, jak o matce.

— Poczciwy chłopiec, — szepnęła pani Żacka — ale kiedy już o tem mowa, jak on tę Zielonkę stracił?

— A! to cała historia; wszystko to stryjasek godny zrobił! pan Alfred odebrał ją tak niby za swoje wychowanie, odłużoną, że cudem się przy niej utrzymywał, i naturalnie w ostatku sprzedać musiał. Byłem tego świadkiem.

Byłby zapewne Boikowski mówił dłużej, wpadłszy na tak zajmujący go przedmiot, gdyby w tej chwili Justysia ze Stanisławem nie nadeszła. Ekonom się skrzywił, wziął za czapkę, ukłonił się i wyszedł szybko.

Córka przesunęła się ucałowawszy rękę matki do swego pokoju, a stary sługa pozostał udając, że krzesła porządkuje i prostuje stoliki.

— Cóż tam, mój poczciwy Stanisławie, nie gniewasz się na mnie? — odezwała się po chwili pani Żacka.

— Ja? — odwrócił się Skiba — ja? ja?

Wymówił te wyrazy z takim podziwieniem, że pani Żacka, która złego humoru koło siebie nad wszystkie obawiała się klęski, uśmiechnęła się aż z radości.

— Widzisz, mój kochany Stasin, — tak go nazywała chcąc mu się przymilić i przypomnieć dni jego młode, bo i nieboszczyk zwykle imię jego spieszczał — widzisz mój Stasiu, bałam się, żebyś mi za złe nie wziął tego żyta...

— A! droga moja pani — odezwał się zbliżając stary i składając ręce — kiedy też uwierzysz, że wasz Stanisław gotów dla was całe życie, nie tylko drobną chwilę bólu poświęcić? Całe to moje szczęście, że mi przy

sobie i przy naszym aniolku być pozwalasz; rób ze mną co chcesz...

— Dziękuję ci Stanisławie; widzisz, że ci się to żyto przywidziało!

Stanisław począł ścierać, ale nic nie odpowiedział.

— Nieprawdaż? — nagliła wdowa.

— Hm! nie wiem.

— Boikowski uczciwy człowiek.

— Oj! i to nie wiem! — odparł stary trzęsąc głową.

— Stasiu, ty bo się uprzedzasz, ty go nie lubisz...

— Że go nie lubię to prawda, kochana pani moja!... cóż robić... taka moja natura, że jak człowieka znienubię od pierwszego wejrzenia, już się potem nie przekonam. A przypomnijcie sobie nieboszczyka świętego pana mojego; on tak był przywykły do tego, że mnie wejrzenie nie myli, iż bywało, gdy kto nowy przyjedzie a zabiera się do interesu, nieraz mnie zawoła wieczorem, i poufale, jak to on umiał, pyta: — No! Stasiu! jakże on się tobie wydaje? Trafiło się, że się jakoś niezgodzimy, bo nieboszczyk, jak to pani wiadomo, zbyt dobrego był serca, i przez to nie rad w złe wierzył... to mi jegomość zaprzeczy, ja zmilczę; przyjdzie interes, z interesu najlepiej człowieka poznać... wyszła oliwa na wierzch i pan się odzywa do mnie: — Oj! Stasiu, coś twoje na wierzchu. Już pod koniec — westchnął Stanisław — bywało się nawet nie sprzeciwia i z uśmiechem, jak on tylko umiał śmiać się, powiada: — poradzę-no się mego konsyljarza, pana Skiby.

— Wszystko to prawda, — smutnie odpowiedziała pani Żacka — ale czyżes się już nigdy nie omylił?

— Z pomocą Bożą... bo nigdy na nikogo nic nie powiem, póki nie westchnę do Stwórcy... nie trafiło mi

się oszukać. Ja coś tak czuję złego człowieka jak kot myszy... nie wiem sam czemu, dla czego, ale przeważam zawsze.

— Jednakże na Boikowskiego nie masz nic, tylko że ci się nie podoba, a mnie on służy jak nikt.

— Droga pani — rzekł po namyśle Stanisław — nie rad to ja źle mówię; ale tu mi chodzi o najdroższe, bo o wasze dobro... nic teraz nie powiem, zaczekajmy; jeszcze nie pora go sądzić, zbiorę więcej.

— Ale masz-że cokolwiek? — spytała niespokojnie już wdowa.

— Hm! znalazłoby się... tylko jak mówiłem, nie pora. Proszę kochanej mojej pani i zaklinam na popioły drogiego naszego anioła, nie wierz mu zbyt mocno, nie odkrywaj mu się całkowicie... bądź pani ostrożna...

Wdowa zdawała się tem poruszona, ale niepokój ten zniechęcał ją jeszcze do Stanisława, bo nikomu biedna istota nie mogła darować, kto jej spoczynek przerywał; zawsze niemiłe zostawało wrażenie każdego podobnego wzruszenia, którego zimną krwią i siłą ducha pokonać nie umiała.

— Stanisławie kochany, czy się tylko nie uprzedzasz?

— Wiem to, moja pani najmiljsza i daruj, że ci powiem: siwe moje włosy i starość źle za mną mówią. Myślicie sobie nieraz: Stanisław dziwaczęje, przywiduje mu się, majaczy przez niewczesną gorliwość. Nie! nie! nie! mogę ja pobredzić gdzie o mnie chodzi, ale gdzie o was... nigdy! Oczy widzą jasno, dusza czuje mocno... nie omyłę się, nie omyłę.

Wdowa spuściła głowę strudzoną na poduszkę i ujęła ją ręką, okazując zużycie; Stanisław zafrasował się i zamilkł.

— Bez Boikowskiego jabym sobie rady nie dała! — szepnęła z cicha.

— Dobrodziejko moja, stu takich znajdziemy i nie takich, bo lepszych... to truteń. On i żonka, para godna: ale nie łapmy ryb przed niewodem; przyjdzie pora, że się wszystko odkryje...

— Ale cóż się ma odkryć?

— Tylko mi się pani moja nie gryź wcześniej, nie frasuj i nie choruj, to najpierwsza rzecz. Jakoś to będzie, jakoś to będzie.

— Ale cóż się to odkryje? cóż on zrobił?

Stanisław zakłopotał się, nie chciał mówić, a przyparty nie wiedział jak się wykręcić; przyszedł do pani, przykląkł i pocałował ją w rękę.

— Nie ma nic straszego, — rzekł — czuwa nad nami anioł nasz, święty nasz, kochana pani; nic się nam nie stanie, wierzaj mi droga moja dobrodziejko; a wreszcie i ja nie spię.

To uczucie głębokie, z jakim wymówił starzec ostatnie słowa, roztkliwiło panią Żackę; porwała się i uściskała siwą głowę Stanisława, który się do nóg jej rzucił.

— Wiercie mi choć trochę, zaklinam was — rzekł łkając; — nigdy nie zdradził, nie zawiódł i nie zawstydził ani mojego anioła, ani was... Spuśćcie się na mnie.

— Powiedz-że co mam robić?

— Na teraz — odparł po cichym namyśle Stanisław — nic nie potrzeba zmieniać, ale nie wierzyć i strzedz się franta... a mieć go tylko na oku. Ręczę pani, że to żyto wyjdzie na wierzch, a z niem wiele innych rzeczy. Tylko powoli, ja wszystkiego dojdę i dowiodę.

— Więc myślisz? — z przestraczem odezwała się wdowa załamując ręce — że on mnie zdradza i kradnie?

— Bądź pani spokojna! bądź pani spokojna, anioł twój przykazuje ci z nieba, żebyś swoje zdrowie dla córki pielegnowała; nie obawiaj się, nie myśl, nie fraszuj, a spuść się na mnie.

— A jeślibyś się omylił?

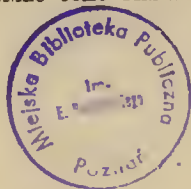
— W waszej sprawie jeszcze mnie nigdy nie omyliło serce — żywo odparł sługa — ale pozwalam, jeśli ten raz zawiodę cię, kochana pani moja... no, to mnie już nie posłuchasz nigdy, i wyszlesz mnie gdzie pod kościół, ostatek dni niezdatnych nikomu, koronkę odmawiać.

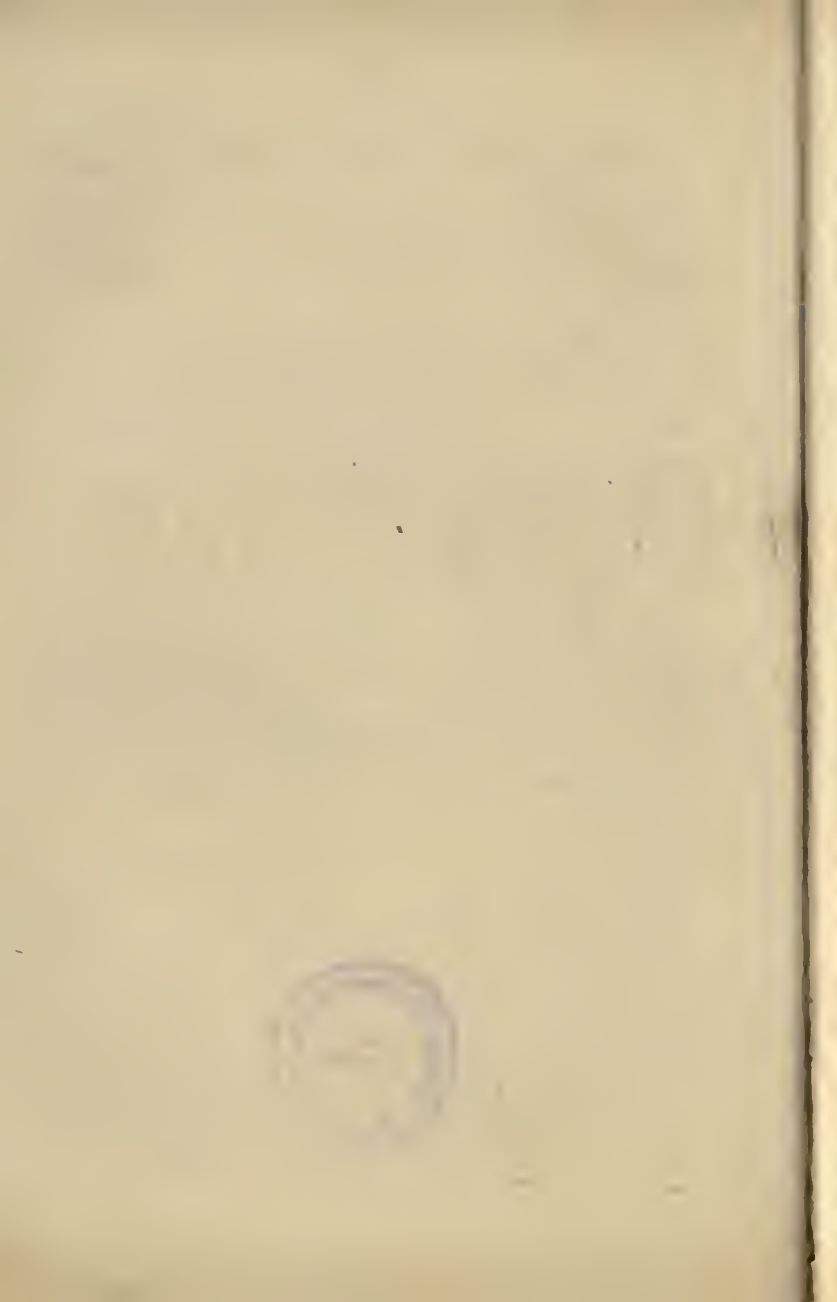
— A! cóż ty mówisz, kochany Stanisławie! proszę cię, nie martw-że mnie.

W tem nadbiegła Justysia i ujrzała staruszka jeszcze pochylonego u stołeczka, na którym nogi trzymała pani Żacka... myślała, że osłabł i rzuciła się do niego, ale Stanisław powstał żywo i rozjaśniając twarz, zawołał:

— O! panienka mnie posądziła, żem już taki niedołęga, a to ja schyliłem się tylko chustkę podać pani..

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.





Biblioteka Raczyńskich

JK 1426



JK1426